Dutt.
1280

MARJA Z FREDRÓW SZEMBEKOWA

NIEGDYŚ...

WSPOMNIENIA MOJE O ALEKSANDRZE FREDRZE

Z PRZEDMOWĄ ADAMA GRZYMAŁY-SIEDLECKIEGO

LWÓW — WARSZAWA — KRAKÓW
WYDAWNICTWO ZAKŁADU NAROD. IM. OSSOLIŃSKICH
1927

NIEGDYŚ...

WSPOMNIENIA MOJE O ALEKSANDRZE FREDRZE

MARJA Z FREDRÓW SZEMBEKOWA

NIEGDYŚ...

WSPOMNIENIA MOJE O ALEKSANDRZE FREDRZE

Z PRZEDMOWĄ ADAMA GRZYMAŁY-SIEDLECKIEGO

LWÓW — WARSZAWA — KRAKÓW
WYDAWNICTWO ZAKŁADU NAROD. IM. OSSOLIŃSKICH
1927

50.000-
650.941
Zakład Narodowy im. Ossolińskich
1100093443

Z DRUKARNI ZAKŁADU NARODOWEGO IMIENIA OSSOLIŃSKICH
pod zarządem Adama Wierzbickiego

BIBLIOTEKA OSSOLINEUM
650941
1991-11-8.2

PAMIĘCI
NAJDROŻSZEGO DZIADA
W 50-TĄ ROCZNICĘ JEGO ZGONU
WSPOMNIENIA TE
POŚWIĘCAM

Autorka niniejszych wspomnień, Marja z hr. Fredrow hr. Szembekowa — nie jest literaturze nieznana.

Czterdzieści lat temu, w młodzieńczych swych latach wydała już tom poezyj „Wiersze ulotne"; drugie, powiększone wydanie wyszło w r. 1891 czy 1892. Dalej bibljografja notuje zbiór nowel „Na jawie i we śnie". Czasu wojny ukazuje się w Poznaniu zbiór jej wierszy „W błędnem kole", ze względu na cenzurę pruską, jako manuskrypt. W roku zaś 1920 trzy tomiki: „Ku rozweseleniu ducha" zbiór fraszek, „Rozkołysany dzwon" (poezje liryczne) i utwór sceniczny „Pogrzeb"; wreszcie w r. 1926 „Z niewydanych wierszy i satyr". Pozatem pisma krakowskie i poznańskie zamieszczały wiele jej prac, w tomy dotychczas nie pozbieranych.

Wena pisarska rodowa. Nie mówiąc już o Andrzeju Maksymiljanie Fredrze z XVII wieku, polskim La Rochefoucauld, o którego „Przysłowiach" Tarnowski słusznie mówi, że pisane są polszczyzną, w jakiej mu nikt inny ze współczesnych nie dorównywał — nie sięgając pamięcią w dal historyczną, zanotować tu trzeba, że pani Szembekowa kontynuuje do naszych dni rodzinne, nieprzerwalne pisarstwo Fredrów, rozpoczęte sto lat temu z górą dziełami jej dziada, wielkiego Fredry, autora „Zemsty", dziedzicznie przekazane jej ojcu, Janowi Aleksandrowi Fredrze, autorowi „Drzemki pana Prospera" i do dziś dnia żywych — „Wielkiego bractwa", „Oj, młody, młody" i „Consilium facultatis". Tu trzeba też przypomnieć, że rodzony

jej brat, ostatni po mieczu wnuk Aleksandra — Andrzej hr. Fredro też nie przeszedł bez echa w piśmiennictwie, pozostawiając po sobie tom utworów „Zbieranina".

Po wielkim dziadku i po ojcu, który na swój czas trzymał się w czołowej linji komedjopisarzy polskich, bierze pani Szembekowa nietylko zamiłowanie do pióra. Dostaje jej się w spadku i zdolność pisarska, zgoła nie zdawkowa. Czytelnicy jej wspomnień zechcą zwrócić uwagę, jak jej myśl umie dobrać sobie odpowiednie słowo, zdanie, okres czy skrót; jak jasno się ta myśl mową wypowiada.

Wszyscy Fredrowie, jacy w literaturze zasłynęli, odznaczali się skojarzeniem zdrowego rozumu z tkliwą uczuciowością. Wszyscy też lubili kryć tę uczuciowość. Pozornie najzimniejszy z nich, ten właśnie protoplasta Fredrów-pisarzów, Andrzej Maksymiljan, kasztelan lwowski, wojewoda podolski, raczej sceptyk w swoich obserwacjach psychologicznych, błyśnie od czasu do czasu maksymą, którą tylko bardzo podniosłe serce mózgowi podszepnąć potrafi: „Żyjesz światu, żyjesz ludziom, żyjesz k o m u — tą żyjesz (dla siebie) godziną, którą oddasz Bogu". — Twórca „Dożywocia" i „Pana Jowialskiego" całą przędzę swego talentu, tyloma kolorami barwnego, namotaną miał na wrzecionie mądrości, zdrowego rozsądku, pozornego nawet chłodu obserwacji; — czytajcie jego „Trzy po trzy", a w opisach jego domu rodzinnego, we wspomnieniach lat dzieciństwa znajdziecie przelewającą się za brzegi tkliwość. Czytajcie też jego „Mój pacierz".

Autorka niniejszej książki bierze oba te dary po swych przodkach. Z kart jej wspomnień raz po raz wyłania się trzeźwość sądu, zrównoważenie myślowe, uśmiech satyryczny, tak nam dobrze znany z jej fraszek — i tuż obok następne często zdanie jaśnieje głęboką uczuciowością. Trzeźwość i tkliwość — tylko może inaczej przetasowane, niż u rodzonego dziada i u pana wojewody podolskiego. Tamci chowali serce

w sobie, zakrywali je chłodem ; pani Szembekowa nie kryje uczuciowości: sercem przesłania niejeden refleks ironji.

Otwórzcie książkę na tej stronicy, gdzie opisuje swoją pielgrzymkę w r. 1924 do rodowego gniazda, do Beńkowej Wiszni.

Wczytajcie się nie w słowa i w zdania, ale w serce, które je ze swego dna wydobyło. Nie dobierano nam frazesów, notowano tu w pośpiechu swoje najprawdziwsze uczucia, ale właśnie dlatego, że mechanizm literatury nie przerabiał tu emocji na swój produkt, ileż bezpośredniego wzruszenia udziela się czytelnikowi!

Książka niniejsza powstała z pietyzmu. Z wdzięcznych uczuć wnuczki i córki. Kult rodzinny zawsze jest pięknem uczuciem — w tym razie o tyle cenniejszym dla czytelnika, że z tego pietyzmu wspomnień wyłania się postać największego polskiego komedjopisarza.

Gdy Aleksander Fredro w r. 1876 umierał, autorka „Niegdyś"... miała dopiero trzynaście czy czternaście lat. Sama o tem nam mówi, że mało sobie wówczas zdawała sprawy, iż wychowuje się w domu jednego z największych pisarzów polskich i jednego z najbardziej szanowanych obywateli Polski ówczesnej: starzec Fredro był tylko dla niej ukochanym dziadkiem i — po ojcu, albo równorzędnie z ojcem — najukochańszym człowiekiem na świecie. Ale to właśnie, że chwile jej ówczesne nie zamącały się kultem artystycznym — postać autora „Ślubów panieńskich" z pamięci jej wydobywa się wolna od wszelkiej sugestji. Poznajemy tu Fredrę człowieka, którego kto inny z pism jego co najwyżej odgadywać może — z nieuchronnem ryzykiem odgadywania.

Mamy w tym pamiętniku Fredrę domowego; Fredrę, jakim był sam ze sobą, bo z najbliższymi. Rysuje się przed nami postać czcigodna; rysuje się człowiek, który tu, u siebie, wśród rodziny ani chce ani też nie może skrywać skarbów swojej uczuciowości, które tak zazdrośnie chował w swoich komedjach,

w nieprzebranej gęstwinie wyostrzonego dowcipu, ironji i doskonałego krytycyzmu psychologicznego.

Tu, w domu, na Chorążczyźnie lwowskiej, odnajdziecie Fredrę, który i w dziewiątym krzyżyku życia zachował serdeczność swoich lat chłopięcych z „niebieskiego pokoiku" w starym dworze beńkowo-wiszniеńskim. Tu go ujrzycie, przechowującego pod schyłek wieku XIX starodawny obyczaj dusz polskich, rozumów i sumień polskich. Tu, z rozpierzchłych refleksów pamięci rekonstruuje się bez trudu historja szczęścia małżeńskiego Fredry i pani Zofji z Jabłonowskich Fredrowej, poemat serc, który przetrzymał tak niebezpieczną próbę szczerości, jaką był romantyzm, trwał niezmieniony od pierwszego niemal wzajemnego ich poznania się, z roku na rok słodycz przyjaźni dodając do niemilknącej miłości, aż pod koniec ich długiego żywota jedną już tylko wspólną duszę uczynił z dwóch istnień duchowych.

Wszystko, co możemy wiedzieć o Fredrze, drogie jest oświeconemu Polakowi. Niechże więc i ta książeczka, Fredrze milknącemu poświęcona, znajdzie czytelników, wdzięcznych autorce za portret człowieka, który już doszedł do godzin żywota, kiedy duch coraz to energiczniej drze zasłonę doczesności, coraz spokojniej zato wpatrując się w swoją wieczystość...

Adam Grzymała-Siedlecki.

CZĘŚĆ I.

Dworek na Chorążczyźnie[1].

Nie wiem, czy kto bardziej ode mnie ma religję pamiątek, tradycji i wogóle — przeszłości. Bolesna to jest religja, bo świątynią jej — cmentarz, a ołtarzem — groby, posiadać ją może ten tylko, który wiele w życiu strat poniósł; do tych się zaliczam.

Dziwnym zaiste wyrokiem Bożym, chociaż stoję zaledwie u progu starości, jestem już niemal ostatnią żyjącą osobą, która pamięta jeszcze, czem był dla całej naszej rodziny dawny dworek fredrowski we Lwowie, na ówczesnej Chorążczyźnie położony.

O ludziach zmarłych pisze się, czy na to zasłużyli, czy nie, szumne nekrologi; czemubym nie miała napisać nekrologu po rzeczy drogiej, na zawsze utraconej?...

Dla dzieci moich, w których serce ową cześć przeszłości tak silnie wpoić się starałam, postanowiłam sięgnąć dziś do tej skarbnicy wspomnień i choć nieudolnie, odtworzyć dla nich szkic z lat minionych.

Dworek na Chorążczyźnie należał do dziadostwa moich, Aleksandra i Zofji z Jabłonowskich Fredrów. W dworku tym urodziłam się w roku 1862; tamże w dwa dni później umarła matka moja, tam spędziłam z małemi

[1] Drukowane w PRZEGLĄDZIE POLSKIM 1905 r.

wyjątkami czternaście lat życia, t. j. do 1876 r., kiedy to śmierć dziadka rodzinne ognisko nasze rozbiła.

Nie jestem już w stanie spisać tu czegoś nakształt pamiętników — za późno na to; zresztą czasy dziecinne w pamięci dziecka nie tworzą nigdy pasma dni nieprzerwanych, rodzaju całości, ale ryją się w niej i z niewiadomej przyczyny w jakiejś komórce mózgu przechowują epizody poszczególne, wypadki, sceny, obrazy, czasem nawet bardzo błahe i małoznaczące.

Takich obrazów pamięć moja przechowała dużo — lecz kogożby interesować mogły?

Do jednego z najdawniejszych zaliczam wizytę u babki naszej Mierowej, przez nas „babcią maleńką“ zwanej; jej ruchy, słowa, suknia nawet, żywo na oczach mi stoją, choć miałam dopiero trzy lata, kiedy umarła. Nie wiem, czy śmierć jej jakie większe wrażenie na mnie wywarła, ale wiem, że gdy mi na znak żałoby przewiązano lewe ramię czarną wstążką (nosiłam bowiem do siódmego roku tylko kolor niebieski i biały), uczułam się z takiej odznaki wielce dumną i zadowoloną, bo w przekonaniu mojem czyniła mnie podobną do — oficera!

Mieszkańcami dworku byli w tych czasach, prócz dziadostwa, ojciec mój, który z pomocą mojej babki bardzo się szczegółowo wychowaniem naszem zajmował, długoletnia towarzyszka i przyjaciółka rodziny, panna Adela Deforel, przez nas Mazdusią zwana, brat mój Andrzej, o trzy lata starszy ode mnie, i ja. Później przybyli do tego grona — nauczycielka moja i nauczyciel mego brata.

Rozkład pokoi był następujący. Na piętrze duży dawny salon, na trzy części podzielony, był naszym pokojem dziecinnym, następnie moim i mojej nauczycielki; obok, od strony ogrodu, był pokój jadalny, dalej bawialny, przyozdobiony portretami i obrazami roboty ciotki Szep-

Dworek na Chorążczyźnie (od wejścia).

tyckiej, ale rzadko i tylko do przyjmowania ceremonjalnych wizyt używany — potem rodzaj przedpokoiku, w którym stały szafy z konfiturami i gdzie Adela robiła kawę — wkońcu szereg ten pokoi zamykała obszerna, jasna, sypialnia mojej babki. Stały w niej dwa łóżka, staroświeckie wygodne meble, duże biurko, krosna, na ścianach wisiały obrazy, fotografje i rysunki. Był to niezaprzeczenie najmilszy pokój z całego domu.

Obok niego, od strony zajazdu, tam, gdzie teraz wmurowana jest tablica pamiątkowa, był pokój mojego dziada, dziś podobno, jak wszystko w starym dworku, do niepoznania zmieniony i na dwoje przedzielony. Przesiadywaliśmy w nim dużo, zwłaszcza gdy dziadek był chory lub w ostatnich latach swego życia, gdy łóżka już nie opuszczał. Na parterze mieściły się mieszkania mego ojca, brata, Adeli i gościnny, tak zwany salonik, który zwykle wujostwo Szeptyccy podczas swego pobytu we Lwowie zajmowali.

Z dwóch stron dworku okalał go ogród, częściowo na sad obrócony, a który nam się olbrzymim wydawał. Olbrzymim oczywiście nie był, ale jak na ogród w mieście, był duży i ładny.

Na owalnym trawniku, rozpościerającym się przed markizą, kwitły same śliczne róże, otaczające go grzędy pełne były pachnących, dziś już niemodnych kwiatów, jak lewkonji, werweny, goździków i rezedy, pielęgnowanych ręką babki, która namiętnie ogród lubiła. — Tło trawnika tworzyły gęste klomby bzu i jaśminu, odgradzające tę część ogrodu od drugiej, rodzaju wirydarza. Tam rosły wyborne gatunki poziomek i truskawek, agrest, porzeczki i maliny, do których rwania babka często pomocy naszej wzywała.

Od strony zachodniej ciągnął się cienisty sad, pełen

szlachetnych grusz i jabłoni — parkan zakrywały krzaki orzechów tureckich. Cóż więcej potrzebnem było do szczęścia dwojga dzieci, które w tym ogrodzie wszystkie wolne od lekcyj godziny spędzały?

Ileż tam różnych przygód, i wesołych, i tragicznych z bratem moim i kuzynami przeżyłam!

Chociaż do dziewiątego mniej więcej roku mego życia, brat i ja byliśmy nierozdzielni, jednak wspomnienia nasze z tych czasów, skutkiem różnicy wieku między nami, mocno się różniły. I tak, on wyraźnie pamiętał uroczystość wręczenia medalu memu dziadkowi w r. 1865 przez deputację, na której czele stał generał Załuski — a pamiętał ją dlatego, że pozwolono mu być jej obecnym i że wtedy po raz pierwszy i ostatni w życiu widział dziada w polskim stroju. Mnie z tej całej uroczystości, zresztą nie widzianej, utkwił w pamięci tylko ten jeden fakt, że jadłam dnia tego obiad sama na biurku w pokoju mojej babki.

Przed kilku laty proszono mnie usilnie, abym zebrała i spisała nieznane dotąd szczegóły z życia mego dziadka; ogromnie mi przykro było nie móc życzeniu temu zadość uczynić, a nie mogłam z prostej bardzo przyczyny: Dziad mój, do chwili śmierci swojej, nie był nigdy dla nas „sławnym człowiekiem“, ale kochającym, pobłażliwym i bardzo nas psującym „dziadziem“.

Mam po dziś dzień złudzenie a raczej przekonanie, jak je już w dzieciństwie bezwiednie miałam, że jako jedyna jego wnuczka, śród sześciu wnuków, posiadałam u niego różne przywileje i wiele rzeczy bezkarnie mi uchodziło.

Czasami, coprawda po jakichś nadzwyczajnie i wyjątkowo ciężkich przewinieniach, babka moja, przed którą wielki oboje mieliśmy respekt, groziła nam gniewem dziadka, ale były to próżne „strachy na Lachy“.

Ja przynajmniej nie bałam się go wcale, ale zato kochałam bardzo, nikt bowiem tyle, co on, się ze mną nie bawił, nikt tak się memi konceptami nie cieszył; żartów, figli między nami było zawsze bez końca.

W jednym z dwóch jego listów z lat 1870 i 1872, które dostałam podczas wakacyj, spędzanych w Przyłbicach u ciotki Szeptyckiej, pisze: „Niema obrachunków — niema figli... Niema komu żartować... Smutno mi bez ciebie“...

Jedną z ulubionych przeze mnie rozrywek, która mi się nigdy, a co dziwniejsze i jemu nie przykrzyła, było puszczanie przez niego dymu z fajki do tabakierki, który to dym ja następnie z wielkiem namaszczeniem wypuszczałam. Drugą, nieco już późniejszą rozrywką, było czesanie go. Nieraz, gdy drzemał w fotelu, lub może z zamkniętemi oczyma co tworzył, ja jego pięknym, miękkim, śnieżnobiałym włosom nadawałam najfantastyczniejsze fryzury.

Lubiłam też czasem, gdy mnie odpowiedni nastrój chwycił, opowiadać mu historje własnego pomysłu. Sensu w nich pewno wiele nie było, ale dużo wyobraźni, co rodziło w nim obawę, abym kiedyś autorką nie została. Obawa ta pobudziła go w roku 1870 do napisania w albumiku moim znanego czterowiersza:

Pamiętaj, dziewonko droga,
Że w świętym posagu Boga —
Piękne rozumu zalety,
Ale w sercu — tron kobiety.

Kiedy latem — rzadko się to zdarzało — wyjeżdżał na spacer, stale dawano mu mnie za towarzyszkę. Jeździliśmy zwykle na dworzec ulicami, na których nowe budowle powstawały, co jego interesowało, a mnie nudziło.

Dziadostwo prowadzili zawsze, za mojej pamięci, życie ogromnie ciche i odosobnione, przyjmowali tylko bliską rodzinę i kilku dawnych przyjaciół, do nich zaliczał się ś. p. Kazimierz Krasicki, p. Alexander Czacki, który co niedziela prosto z sumy do dziadka na godzinę przyjeżdżał, p. Wojciech Madeyski, p. Tustanowski, którego duża, wygolona, purpurowa twarz o fioletowym nosie, przy białych włosach i czarnych, latających, przenikliwych oczkach, szalony strach we mnie wzbudzała, i niewielu innych.

Jednostajność życia naszego przerywały co roku dwa ważne wypadki. Jednym z nich był przyjazd do nas wujostwa Szeptyckich z dziećmi, zwykle około Wielkiej Nocy następujący. — Drugim był obchód imienin mego dziadka i ojca, dwunastego grudnia. Ach! Jakżeż się dłużej nie zatrzymać nad tym przyjazdem „cioci Zosi z chłopcami“ !... Już całe tygodnie przedtem ruch panował w domu — przygotowania różne czyniono — mnie zwykle z pokoju mego wyrzucano, by gościom ustąpić miejsca, bo nie było to rzeczą łatwą tyle osób w dworku pomieścić. Ale pomieszczenie się zawsze znalazło, a gdy dzień upragniony nadszedł, jakiż to niepokój, jaka niecierpliwość ogarniała dom cały, około południa! Dziadek chodził od okna do okna — babka, raz po raz do kuchni zaglądała, czy obiad się nie zepsuje — myśmy zawsze pierwsi spostrzegali gdzieś daleko, na dzisiejszej ulicy Akademickiej, pojawiającą się czwórkę gniadych koni i kocz, tłumokami naładowany. Co tchu pędziliśmy do dziadostwa z okrzykiem: „Jadą!“ — Kto żyw zbiegał nadół — dziadek na schody wychodził i następowała owa słoneczna w życiu ludzkiem chwila powitań, uścisków i wykrzykników, na której samo wspomnienie robi się ciepło w sercu.

Innego rodzaju wzruszenie sprawiał nam dzień św. Aleksandra. Już nie tygodnie, ale miesiące naprzód, w pocie czoła przygotowywaliśmy pod okiem i kierownictwem babki podwójne nasze wiązania — a więc uczyliśmy się wierszy w różnych językach, przepisywaliśmy poematy i życzenia najpiękniejszą kaligrafją; brat mój rysował arcydzieła, ja sonaty powtarzałam zawzięcie.

Dnia dwunastego grudnia budziliśmy się już o świcie w śmiertelnej trwodze, by nas w stanowczej chwili pamięć lub palce nie zawiodły. Cały ranek był pełen emocji — nareszcie uderzała godzina dziesiąta! Przejęci jej ważnością, szliśmy z bijącem sercem, najpierw do dziadka, a stamtąd do ojca — odbywały się powinszowania i wszelkiego rodzaju produkcje artystyczne, a po szczęśliwem ich przebyciu rozpoczynał się dla nas dzień niczem nie zamąconej radości! Był on rzeczywiście jedynym w roku, w którym dziadek przywdziewał surdut w miejsce futerkiem podbitego szlafroka, gdyż wtedy literalnie cały Lwów do dworku zajeżdżał.

Wstęp do bawialnego pokoju mieliśmy wolny; coraz to nowi goście, przez nas skrupulatnie liczeni, wchodzili i wychodzili — panie z babką moją i z nami się zabawiały — panowie szli na krótką chwilę do dziadka, a potem na znacznie dłuższą do mego ojca, gdzie ich oczekiwała tradycyjna, wyborna przekąska; koło godziny czwartej recepcja się kończyła, pozostawała tylko najbliższa rodzina.

O ile często babka zapraszała członków rodziny, zwłaszcza ze wsi przybywających, na obiad lub kolację, o tyle nie pamiętam nigdy osób obcych przy naszym stole.

Wyjątek jedyny stanowiło zaproszenie raz na obiad Juljana Klaczki; niestety, prócz wejścia jego do salonu, nic z tego zdarzenia w pamięci mojej nie utkwiło. Wiem

Pokój Aleksandra hr. Fredry.

tylko, że był we fraku, trzymał wchodząc jakąś książkę w ręku i dziadka mego w ramię pocałował. Uprzedzono nas, że jest to człowiek „sławny“, a więc bacznie mu się przypatrywałam; znalazłam go bardzo brzydkim, a że do mnie słowa nie zagadał, źle oczywiście został skutkiem tego u mnie zapisany.

Dzisiaj rozumiem i śmiało powiedzieć mogę, czego się wówczas ze zwykłym egoizmem dziecka ani nie domyślałam, że dziadostwo moi żyli tylko dla dzieci i wnuków. Przewodnią ich myślą, ciągłem staraniem, było nam dogodzić; babka, mimo podeszłego wieku i starganych sił, trudniła się zarówno praktyczną, jak i moralną stroną wychowania naszego, — dla dziadka byliśmy jedyną rozrywką, jedynem szczęściem; oboje nas, wraz z ojcem naszym, bezgraniczną otaczali miłością.

Nie od rzeczy będzie może tu wspomnieć o urządzanych dla nas przez babkę, podczas karnawału, wieczorkach tańcujących.

Na pierwszym z nich, przez mego dziada wierszem p. t. „Nasz balik dziecinny“ opisanym, grała nam do tańca na fortepianie, przyprowadzona przez nauczyciela mego brata uboga czternastoletnia dziewczynka, Marcelka — późniejsza Sembrich Kochańska.

W czasach tych, t. j. około roku 1871—1872, dziad mój dość dużo jeszcze pisał, zwłaszcza poezyj, lecz nigdy ich nikomu nie czytał, prócz babce, w cztery oczy; mnie powoływał czasem do ich przepisywania na czysto. Nic tak nie lubił, jak kiedy brat mój, w wolnych chwilach, czytając w rękopisach niewydane jego komedje, zanosił się nieraz od śmiechu. Twarz dziadka się wtedy rozjaśniała i z uśmiechem mawiał do babki: „Oto moja najmilsza, najwdzięczniejsza publiczność! Dla niej warto pisać“...

Z czasów tych i nieco późniejszych, a poprzedzających

długą, bo przeszło dwa lata trwającą chorobę jego, pozostały mi w sercu dwa obrazki... Więc najpierw obraz pokoju mojej babki w wieczory zimowe. Spędzaliśmy je stale u niej. Babka, mająca wtedy lat siedemdziesiąt jeden, kładła się już około godziny 7-mej; po kolacji, w jej pokoju spożytej, przysuwano do jej łóżka stolik i fotel mego dziada i razem kładli pasjanse.

Przy drugim dużym stole siedziała reszta towarzystwa, a więc Adela, zwykle nam głośno jakąś zajmującą powieść czytająca, nauczycielka moja, zajęta robotą, i nas dwoje rysujących. Pod koniec wieczoru drzwi się otwierały i wchodził mój ojciec we fraku. Dużo on bywał w świecie i niemal codzień zimą jeździł na bale i rauty — przedtem przychodził zawsze spędzić parę minut z nami i rodzicom powiedzieć dobranoc. Chyba nic nowego nie zaznaczę, twierdząc, że należał do najdowcipniejszych i najprzyjemniejszych ludzi swego czasu.

Kiedy wujostwo Szeptyccy u nas bawili, elektryzująca dla nas była chwila, gdy ciotka pojawiała się w balowej sukni — stawiano wtedy kandelabry zapalone na ziemi i wszyscy ją podziwiali.

Z uderzeniem godziny 9-tej udawano się na spoczynek. — Drugim, w pamięci mojej wyrytym obrazkiem, tym razem słonecznym, jest to kółko nasze, letnią porą zebrane w ogrodzie.

Obiad jadano u nas — jak wówczas ogólnie — o godzinie drugiej. Po obiedzie schodziliśmy do ogrodu, pod nawpół spuszczoną markizę. Tam dziadek mój, paląc swą fajkę na długim cybuchu, pił czarną kawę, — babka, która bezczynnie nigdy i chwili nie spędzała, zabierała się do ręcznej roboty. Adela głośno gazetę czytała, a ja z bratem moim, na upał mało wrażliwi, uganialiśmy po całym ogrodzie. Gdy słońce chyliło się ku zachodowi, babka

porzucała robotę dla innego zajęcia; z nożycami w ręku odchodziła klomby i róże, oczyszczała krzewy, oglądała swe ulubione kwiaty, a w dni gorące, sama z pomocą moją i starego Grzegorza, stróża, koneweczką je podlewała.

W tym drogim ogrodzie, którego każdą ścieżkę, każdy krzak pamiętam (zrobiłam parę lat temu dokładny plan jego z pamięci), miałam i ja swój własny ogródek. Pielęgnowałam go z wielkiem zamiłowaniem, często przemocą wyciągałam do niego mego dziadka i kazałam mu podziwiać owoce własnoręcznej pracy: ładnie utrzymywane kwiaty lub tępemi nożyczkami mozolnie strzyżony trawnik.

Z tych czasów pozostało mi także zamiłowanie do — katarynek. Sąsiad nasz, p. Bogucki, jeżeli się nie mylę, sprowadzał codzień z nastaniem pierwszych dni wiosennych, kataryniarza, który mu przez długie, popołudniowe godziny grał na katarynce. Monotonna ta muzyka niecierpliwiła nieraz dziadostwo; dla mnie dziwny urok posiadała. Składało się tak, że zwykle w tym czasie pozostawałam całkiem sama i miałam ćwiczenia na fortepianie powtarzać. (Nie na wiele mi się te ćwiczenia przydały!)

Za parkanem, w sąsiednim ogrodzie grała katarynka; grała codzień te same stare, rzewne melodje: odwieczny walc „Les Gardes de la reine“, „Murska Valse“, „Mandolinata“ i t. p. Okno pokoju mego było otwarte, wiosenne słońce oświecało cienisty sad, rozgrzewało młode pędy drzew, powiew ciepłego wiatru przynosił do mnie przenikliwy, upajający zapach świeżej zieleni, — urywałam ćwiczenia, słuchałem katarynki i dziwna tęsknota budziła się w dziecinnem sercu mojem i łzy mi do ócz nabiegały...

Dziś jeszcze, po tylu latach, kiedy przechodząc ulicą, usłyszę gdzie w podwórzu jakiej kamienicy grającą katarynkę (zdarza się to coraz rzadziej, bo i katarynki z mody

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA

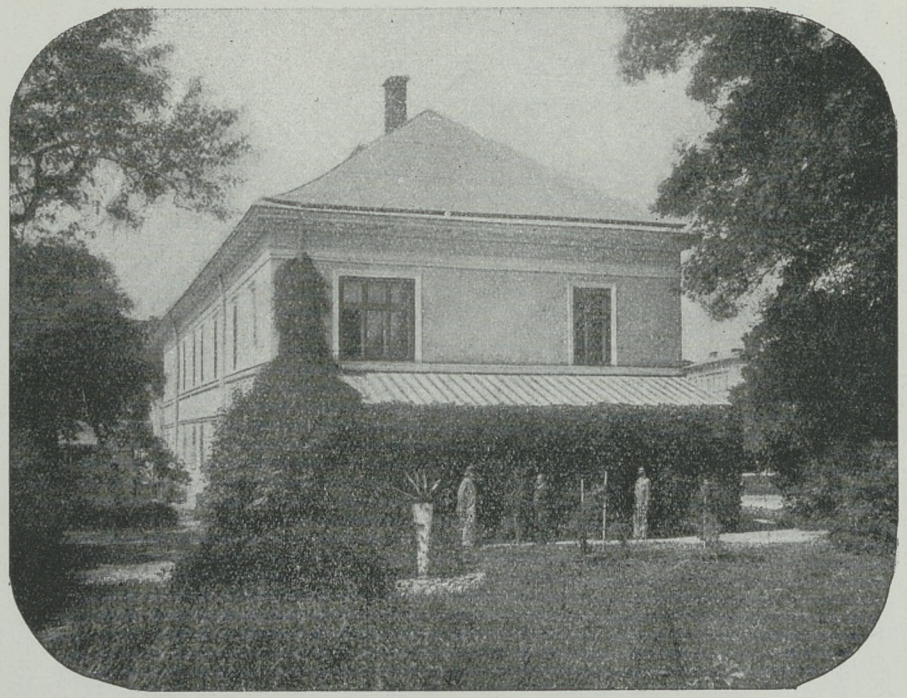

Dworek na Chorążczyźnie. Zdjęcie z boku od werandy.

już wyszły), zawsze zatrzymuję się, słucham, — ogród na Chorążczyźnie wiosennie oświecony w oczach mi staje i tłumię westchnienie...

Choroba dziadka mego, jak to wyżej wspomniałam, trwała z różnemi przerwami przeszło dwa lata; dla nas dzieci, stała się ona stanem chronicznym, o którego zakończeniu nie myśleliśmy na serjo. Przywykliśmy do widzenia go stale w łóżku leżącego, do codziennej wizyty doktora, do zapisywania lekarstw i t. p.

Dnia 1 lipca 1876 r. wyjechałam, jak co roku, z ojcem moim na wakacje do rodzinnego majątku naszego, Beńkowej Wiszni; 12-go w środę, nadszedł telegram z wiadomością, że stan dziadka jest groźny, spakowaliśmy się w mgnieniu oka i tego samego dnia, wieczorem stanęliśmy we Lwowie; wujostwo Szeptyccy równocześnie z nami przybyli. Na pierwsze wejrzenie dziadek mój nie zmienił się od naszego wyjazdu — piętna bliskiej śmierci na orlej twarzy jego nie dojrzałam. Siedział, jak zawsze na łóżku, wsparty poduszkami, z głową na piersiach zwieszoną i drzemał; lekarze żadnej już nadziei nie robili.

Nosiłam się długo z myślą spisania wszystkich najdrobniejszych szczegółów z tych ostatnich dwóch dni życia jego — zamiar, niestety, pozostał zamiarem, a czas zrobił swoje... Dziś niektóre szczegóły w pamięci mojej się zatarły; wiem tylko jeszcze, że kilka osób z bliższej rodziny, jak stryj Edward Fredro, najmłodszy brat dziadka, jego syn, stryj Edward junior i wuj Ksawery Skrzyński, wciąż u nas przesiadywali — że nazajutrz, czy też w piątek, przyszedł ksiądz z Panem Bogiem i udzielił dziadkowi ostatnich Sakramentów Świętych — że całe dnie i noce czuwaliśmy wszyscy przy chorym, który czasami apatycznym wzrokiem wodził wkoło siebie, ale nic już nie mówił i spał prawie bez przerwy.

Wnętrze pokoju Aleksandra hr. Fredry (drugie zdjęcie).

W piątek po południu wszedł mój ojciec do mego pokoju i rzekł: „Nie oddalaj się — godziny dziadzia są policzone...“. Tej nocy do późna siedzieliśmy przy nim — noc była parna, okna szeroko otwarte... Około północy kazano mi pójść się położyć, co też uczyniłam, ale nie rozbierając się.

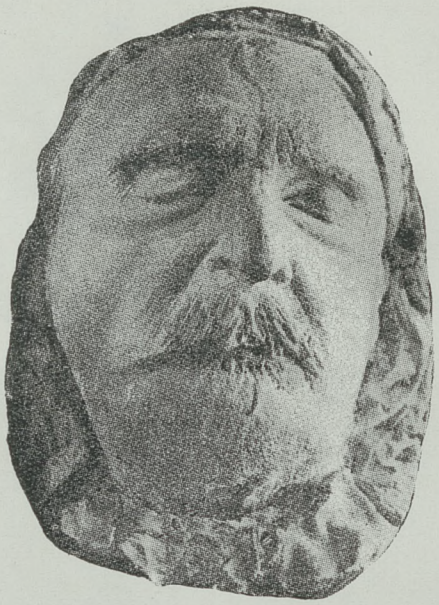

Maska pośmiertna Aleksandra hr. Fredry.

W sobotę 15 lipca o 5-tej rano zawołano mnie do dziadzia — zastałam zgromadzonych wszystkich. — Dziadek siedział, jak dotąd, nieruchomy, ale oddech jego stawał się coraz bardziej urywany, coraz chrapliwszy; uklękliśmy w półkole u stóp jego, babcia, tyloletnia towarzyszka jego, najbliżej, przy niej mój ojciec, wyciągający wciąż ręce

i z płaczem wołający: „Papo mój! Papo!“... ciotka Szeptycka, wuj, Adela, mój brat, ja, wkońcu wierny sługa dziadka, Szymon Kruczyński. O wpół do szóstej oddech chorego się urwał — drogi nasz, ukochany „Dziadzio“ zakończył swój piękny, bogobojny żywot, a śmierć ta pociągnęła za sobą zupełne rozbicie gniazda naszego...

Od owej chwili już tylko cztery czy pięć razy, i to na krótki pobyt, wracałam do dworku na Chorążczyźnie... W r. 1881 podczas karnawału, spędzonego we Lwowie, zaręczyłam się z Piotrem Szembekiem i długie godziny spędzałam w towarzystwie mego narzeczonego w pokojach parterowych, któreśmy zamieszkiwali. Gdy nadeszła wiosna, przechadzałam się z nim często po słonecznych ścieżkach starego ogrodu, snując złote sny o przyszłości, a wówczas tyle pieśni w sercu mojem grało, że nie pomnę nawet, czy im katarynka w sąsiednim ogrodzie wtórowała... Dnia 2 czerwca tegoż roku odbył się ślub mój i wesele w dworku dziadostwa...

Później dwa razy już tylko do niego weszłam — raz, by odwiedzić ojca w ciężkiej chorobie, drugi, ostatni, by ujrzeć brata na katafalku...

Tak jest... Niezbadane są sądy Boże...

Z dawnych mieszkańców dworku, prócz wuja Szeptyckiego, ja jedna przy życiu pozostałam; babka, Adela, ojciec, brat, ciotka, wszyscy pokolei odeszli, a dworek — w obce przeszedł ręce...

Gdy w przeszłym roku zmuszoną byłam spędzić kilka tygodni we Lwowie, dziwna jakaś tajemnicza moc ciągnęła mnie wciąż w ową stronę — ku Chorążczyźnie...

Opierałam się jej, walczyłam, wiedząc zgóry, co za morze bólu i tęsknoty w sercu swem dobrowolnie rozbudzę, a jednak — uległam pokusie...

Szłam do białych sztachet dworku — stawałam przed

bramą i zapuszczałam wzrok, łzami zamglony, w te okna, z których dzieckiem na świat Boży patrzałam, starając się wskrzesić poza niemi, siłą wyobraźni, drogie mi, zmarłe postacie...

Dziś stary dworek szaty przywdział świeże i eleganckie — odmłodniał, wypiękniał, ale zmienił się na „Zinshaus“...

Klomby bzów, które go dawniej kryły przed ciekawem wejrzeniem przechodniów, znikły. Znikły i sztachety, okalające zajazd... teraz już od bramy oko sięgnąć może głęboko w ogród...

Ach, pewno i on zmienił się do niepoznania! I on odmłodniał!...

I tam, dla perspektywy, wycięto prawdopodobnie klomby bzów i jaśminów — i tam pokasowano dawne nieestetyczne ścieżki...

...Kto wie — może zniesiono i ową markizę, pod której cieniem dziadostwo siadywali, i drewnianą altankę, i odwieczny stół kamienny?...

I znów ta moc tajemnicza ciągnęła mnie, pchała poza próg bramy. — Jakiś głos wewnętrzny namawiał, aby raz jeden, jedyny, przekroczyć go, przejść się po tych kątach tak umiłowanych... tak swoich... zamknąć oczy na zaszłe zmiany a przywitać się z tem, co pozostało... Bo chyba coś z przeszłości pozostać musiało!...

Chyba stać jeszcze musi ów wysoki jesion naprzeciw okien babki, niedaleko mego dawnego ogródka... albo ta stara grusza, pierwsza od sadu, tuż przed drzwiami saloniku...

Jakżebym rada zawołać do nich: „Czy które z was pamięta mnie jeszcze? Czy poznaje w żałobnej postaci to same wesołe dziecko, które się z bratem, wśród was tyle lat bawiło? Czy wiecie, że z tych, którzy was sadzili i kochali, prócz mnie jednej, nikt już nie żyje?“....

Ale na ten krok ostateczny, na tę przechadzkę, równającą się przechadzce po cmentarzu a może i boleśniejszą, brakło mi sił i odwagi...

Zdaleka żegnałam się z dworkiem na Chorążczyźnie i odchodziłam...

Wszak byłam już „obcą“ dla niego, a obcym — „wstęp wzbroniony“...

CZĘŚĆ II.

To i owo z moich wspomnień.

1926.

Kiedy w roku 1905 ogłosiłam w Przeglądzie Polskim powyższy szkicyk, dużo miał powodzenia, ale już wówczas robiono mi zarzut, że z obawy zbytniej rozwlekłości w opowiadaniu popadłam w ostateczność przeciwną i rzecz spisałam o wiele za pobieżnie. — Uznając słuszność zarzutu, nie miałam jednak zamiaru poruszać tematu po raz wtóry, zanadto stał się on dla mnie bolesny z chwilą, gdy — na kilka lat przed wojną — dworek nasz zrównała z ziemią wola ówczesnej jego właścicielki, która nie umiejąc należycie uszanować przekazanej sobie spuścizny, uważała sprzedaż i parcelację gruntu za transakcję dla siebie korzystniejszą od dalszego przechowania i kosztownego utrzymywania tej rodzinnej, a zarazem narodowej pamiątki.

Z dworku i otoczenia jego niema dziś śladu, a tablica, wmurowana na jego rogu, między dwoma oknami od frontu z napisem: „Alexander hr. Fredro ostatnich 28 lat życia przepędził w tym domu i zmarł 15 lipca 1876 r.“ została podobno złożona śród innych starych zabytków, a raczej rupieci — w magistracie lwowskim. Czy jeszcze tam się znajduje — pytanie...

Czem dla mnie i dla dzieci moich była z gazet zaczerpnięta wiadomość o zdecydowanej sprzedaży dworku i ogrodu, zrozumieją dobrze wszyscy a tak liczni dziś tułacze, którzy po zawierusze wojennej, wróciwszy do stron rodzinnych, ujrzeli zamiast ukochanego domu kilka podziurawionych murów, sterczących wśród kupy gruzów, albo nawet — bo i to się zdarzało — napróżno starali się odszukać i rozpoznać miejsce, na którem niegdyś ten dom ich się wznosił. — Boleść moją bezgraniczną opisałam w wierszu p. t. „Dworek na Chorążczyźnie“. Aczkolwiek był on już drukiem ogłoszony, przytaczam go tu raz jeszcze.

DWOREK NA CHORĄŻCZYŹNIE.

Mówiłam kiedyś w ciężkiej smutku chwili:
Poco mi wracać do starego domu,
Gdy z wszystkich drogich, co niegdyś w nim żyli,
Niema powitać mnie komu?

Poco kołatać do próżnych pokoi?
Wnosić w ich pustkę szaty moje wdowie?...
Jak upiór błądzić śród upiorów roi? —
Wołać — gdy nikt nie odpowie?...

Poco dowolnie rozdrapywać rany
I wskrzeszać przeszłość, w istnej ducha męce,
Widokiem ojców siedziby kochanej,
Dziś w obce przeszłej już ręce?

— Ach! Dziwnie byłam, dziwnie nierozumną,
Zapominając, że w takiej boleści,
Tak jak w czuwaniu nad otwartą trumną,
Jeszcze cień szczęścia się mieści!...

Nie z wszystkiem koniec, póki martwe ciało
Jeszcze nam wolno oglądać naocznie —
Śmierć ogarniamy i zgrozę jej całą,
Gdy trumna w ziemi już spocznie!...

...Po latach wielu, jakiś żal mnie bierze,
Nagłej tęsknoty doznaję napadu —
Lecę... przybiegam... i oczom nie wierzę...
Starego domu — ni śladu!...

Zburzone gniazdo!... W pień wycięte drzewa!
W ich miejscu gmachów rząd piętrzy się długi...
Bezmierna gorycz serce mi zalewa,
I płyną — płyną łez strugi...

Mych pierwszych wrażeń tajniki i głębie —
Tradycje rodu przejęte w spuściźnie —
Wszystko to dla mnie wcielał w swym obrębie
Nasz dworek na Chorążczyźnie!...

Co czas oszczędza, ręka ludzka niszczy...
Zniszczyła dzisiaj mój skarbiec dziecięcy!...
I niema po nim ni gruzów ni zgliszczy...
To boli może najwięcej...

Minęło odtąd lat sporo. Rzadko bywałam we Lwowie, ale za każdym razem, tak jak to opisałam w roku 1905, parta zawsze tą samą siłą tęsknoty i pietyzmu, stale dążyłam w stronę dawnej Chorążczyzny — błądząc po sąsiednich, a tak do niepoznania zmienionych ulicach i uliczkach, szukałam oczyma starych domów na placu Akademickim, mostu św. Jana na Pełtwi, miejsca, gdzie niegdyś widniała biała brama wjazdowa i obok niej furtka prowadząca do dworku. I oto stała się, nie dalej jak roku 1920, owa rzecz niesłychana, nie do uwierzenia, że razu pewnego zwrócić się musiałam do pierwszego lepszego przechodnia z zapytaniem: „Gdzie jest ulica Fredry?“

Od roku 1905 czas i człowiek zrobili swoje; nietylko że obcą jestem, ale obcą w obcem mieście.

Obecnie — niespodziewany zbieg okoliczności, mianowicie kupno domu przez zięcia mego, Leona Szeptyckiego,

przy ulicy Zielonej, zmusza mnie do spędzenia co roku kilku tygodni we Lwowie.

Mieszkam wówczas u dzieci, a więc niezbyt daleko od dawnej dzielnicy naszej — i teraz często, jak najczęściej, kieruję kroki moje ku ulicy Łozińskiego, tam gdzie stoi jeszcze kawałek muru dawnego ogrodu naszego... I poco?... Co mnie do tego powoduje? Chyba zawsze ta sama, w każdym niemal człowieku tkwiąca potrzeba dobrowolnego rozdrapywania najdotkliwszych ran serca...

W ostatnich czasach ukazały się liczne publikacje o Aleksandrze Fredrze. Jeżeli niektóre ustępy z książki St. Wasylewskiego „U księżnej pani", tyczące się mego dziada, wywołały we mnie protest, to już pamiętniki Ludwika Jabłonowskiego, rodzonego brata mojej babki Aleksandrowej Fredrowej, wydane pod tytułem „Złote czasy i wywczasy — wspomnienia szlachcica z pierwszej połowy XIX stulecia", z ich jadem zaprawną, oszczerczą krytyką szwagra, poruszyły mnie do żywego.

Jestem przypuszczalnie jedną z ostatnich osób, które dobrze Aleksandra Fredrę znały, a niezaprzeczenie ostatnią już, które długie lata pod jednym z nim żyła dachem i obecną była jego śmierci. — Uważam przeto dziś — w 50-tą rocznicę tejże śmierci, za prosty obowiązek zabrać raz jeszcze głos i dla potomności spisać to, co o nim pamiętam.

Z naciskiem powtarzam tutaj, co lepiej ode mnie hr. d'Haussonville w jednej z swych książek powiedział: „Les souvenirs d'enfance vont par bonds et par sauts" coby należało na polskie przetłumaczyć: „Wspomnienia wieku dziecięcego, są to same skoki pamięci". — Jeżeli w pierwszej części wspomnień o dworku na Chorążczyźnie jakiegoś porządku chronologicznego w opowiadaniu mojem trzymać się nie mogłam, tem mniej mogę to czynić obecnie, kiedy mnie od tych czasów dzieli okres prze-

szło czterdziestoletni. Jedynie „skoki pamięci“ czyli luźne obrazki, raz już wydane, w obszerniejszą nieco całość teraz ująć się starałam.

Zaczynam od powierzchowności dziadka.

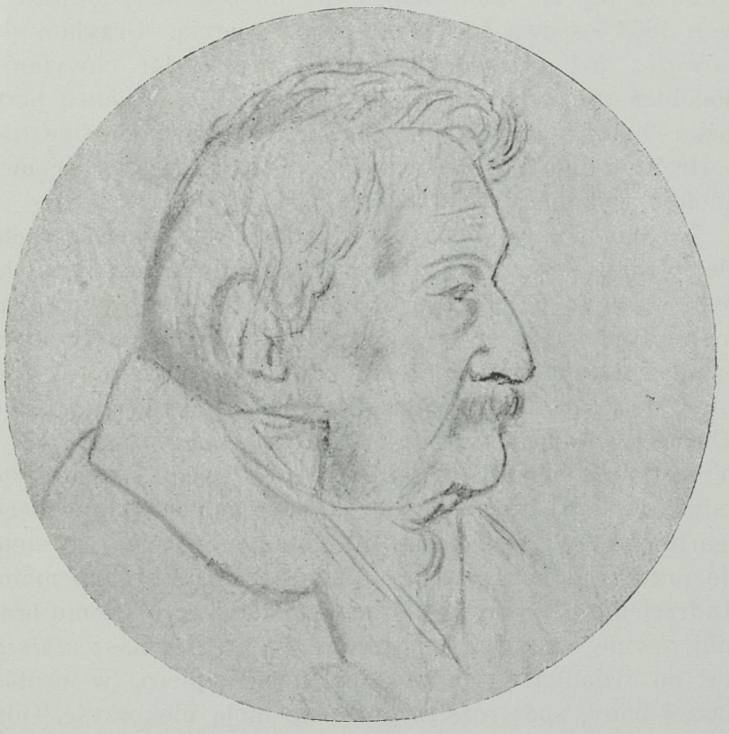

Portret ołówkiem Al. hr. Fredry zrobiony przez wnuczkę, Marję hr. Fredrównę.

Z opisu ogłoszonego przez Ludwika Jabłonowskiego nie mogłabym go poznać. Równie mało podobną wypadła rycina świeżo przez H. Wildera w Warszawie wydana; skopjował ją z dawnego sztychu i odrysował na

kamieniu Adam Grabowski, — podobieństwo psuje rysunek nosa, który Grabowski zrobił za krótki i za gruby, podczas gdy dziadek miał nos dość długi, orli, o bardzo szlachetnym konturze. Umieszczam tutaj portrecik dziadka, zrobiony przeze mnie napoczekaniu, z natury, ołówkiem w r. 1874 — dwa lata przed jego śmiercią. Uczyłam się wówczas już rysować i miałam wielki dar chwytania podobieństw. Dziad mój, zajęty układaniem pasjansu przy łóżku babki, wcale nie wiedział, że równocześnie do portretu swego pozuje wnuczce. Szkicyk ten, dość nieudolnie wykonany, jest jednak bardzo podobny.

Nie miał on, jak pisze wuj Jabłonowski, oczu szarych, ale piwne, o wyrazie żywym i przenikliwym, zamłodu był — sam to w „Trzy po trzy“ przyznaje — rudy i dlatego „Rudziem“ go w rodzinie nazywano; za mojej pamięci włosy miał bujne miękkie, śnieżnobiałe — wąs siwy, dość krótko przystrzyżony — uśmiech rzadki, ale wbrew twierdzeniu szwagra, Jabłonowskiego, bardzo miły. Wzrostu był więcej niż średniego, o czem sądzić było jednakowoż trudno, bo chodził naprzód pochylony, nieco zgarbiony; był niewiele co niższy od mego ojca, co stało się przyczyną ostrego zatargu między mną a bratem moim Andrzejem. Utrzymywałam bowiem stanowczo, czemu brat mój równie stanowczo zaprzeczał, że „ojciec nasz *starszy* jest od dziadka!“ Wyższa instancja dopiero, w osobie naszej bony, spór rozstrzygnęła na moją niekorzyść. Gdy mnie później zapytano, na czem to moje tak śmiałe a niezwykłe twierdzenie opierałam, odpowiedziałam bez wahania: „Przecież papa jest od dziadzia w y ż s z y!“ W oczach moich wzrost jedynie o wieku stanowił.

Jeżeli — jak dalej twierdzi wuj Jabłonowski — dziad był ospą znaczony, to chyba bardzo nieznacznie; nigdy śladów tych nie zauważyłam. Ospę przebył w późnym wieku,

gdzieś około r. 1866, czy może i wcześniej. Dziad mój prawie nigdy pokoju nie opuszczał, ale zaraził się nią od golibrody, przychodzącego go codziennie golić. Mogłam liczyć lat pięć najwyżej, gdy pewnego wieczoru, kiedyśmy z bratem do pacierza uklękli, powiedziano nam: „Dzieci, trzeba dodać osobną modlitewkę za biednego dziadzia, bo jest ciężko chory na ospę".

Słowa te zrobiły na mnie tak silne wrażenie, że wybuchnęłam płaczem i tak gwałtownie łkałam, że tylko z trudem pacierz dokończyć zdołałam. Przebieg choroby musiał być lekki; nas dzieci szczepiono wówczas powtórnie a ojciec nasz, tak dbały zresztą o nasze zdrowie, przychodząc do nas prosto od chorego, uważał za środek dostatecznie zapobiegawczy skropienie ubrania swego octem. Takie to w tych czasach panowały zapatrywania na higjenę.

Tym razem zapobiegawczy środek okazał się wystarczającym, bo nikt więcej w całym domu ospy nie dostał; utkwił mi też w pamięci dzień, kiedy nam, po raz pierwszy po przebytej chorobie, pozwolono dziadka odwiedzić, lecz tylko zdaleka, od progu pokoju. Leżał on jeszcze w łóżku i wesołym uśmiechem nas witał, ale wydał mi się jakiś obcy, do dawnego dziadzia wcale niepodobny; widok jego przejął mnie rodzajem lęku... Jak dobrze, że nam się zbliżyć nie kazano! — Mój brat dopiero później mi wytłumaczył, na czem owa tak groźna zmiana dziadka polegała; oto podczas choroby urosła mu — broda.

Zanim przystąpię do dalszego prostowania innych, najzupełniej z prawdą nie licujących twierdzeń wuja Jabłonowskiego, należy o nim samym kilka słów powiedzieć.

W pamiętnikach swoich pisze on o nigdy niezatartem piętnie, jakie na resztę życia jego wycisnął kilkomiesięczny pobyt w więzieniu. Oto ustęp odnośny:

Gdy minęły zachwyty pierwszego powstania, czuć się dały skutki więzienia... Dzisiaj minęło lat czterdzieści od tej pory, a w sercu i umyśle ślady więzienia się nie zatarły. Wstrętny obrzyd do życia, elektryczna drażliwość nerwów, szaleństwo myśli, bałwanowatość ducha... oto spadek i pamiątki po Karmelitach...

Zdaniem zatem jego rok 1837 i następstwa tegoż spaczyły mu, a prawie że złamały życie; stały się przyczyną zupełnego odsunięcia od spraw publicznych, zerwania stosunków z dawnymi towarzyszami broni i rodziną, zniechęcenia i zgryźliwości, zwłaszcza tej ostatniej właściwości, przebijającej z każdego wiersza pamiętników. — Nie przeczę, że częściowo rzecz się miała tak, jak ją wuj przedstawia — ale tylko „częściowo".

Drugą a może główniejszą przyczyną owego wykolejonego życia było, jak mi się zdaje, niefortunne jego małżeństwo. W przedmowie do pamiętników wyżej wymienionych czytam, że przyjaciel jego, August Bielowski, krok ten w następujący sposób osądził: „Jabłonowski się ożenił — zrobił głupstwo" [1]. Trudno było zaiste innego być zdania. Wuj Ludwik liczył wtedy niespełna lat 22, był więc zaledwie młodzieńcem, a pojął za żonę osobę o 12 lat starszą, ubogą, religijnie najzupełniej obojętną, i mocno, ale to bardzo mocno szpetną. Była nią Franciszka Włodkówna, panna respektowa jego matki [2].

---

[1] Aug. Bielowski do Lud. Nabielaka (list z 3. X. 1832): „Ludwik Jabłonowski wydaje tu swoje poezje. Wiadomo ci już, że się ożenił. Głupstwo zrobił, ale daleko większe robi teraz, wydając poezje, które jak dotąd niczem więcej nie są, jak próbami, które na druk nie zasługują, jakkolwiek o talencie (przy pracy i doskonaleniu się) poświadczyć mogą. Odradzał mu Walenty (Chłędowski) i inni, ale ich nie słucha". Władysław Zawadzki: Ludwik Nabielak. Lwów, 1886, str. 47.

[2] Marji z Świdzińskich hr. Józefowej Jabłonowskiej.

Przysłowie mówi: *Souvent femme varie, bien fol est qui s'y fie.* O mężczyznach przysłowia niema; — że jednak stałość w poglądach nie jest ich główną zaletą, świadczą tak w historji, jak i w życiu zwyczajnem aż nadto liczne przykłady. Taka też zmienność ujawniła się u wuja Jabłonowskiego. Początkowo nie czuł on najmniejszego pociągu do swojej przyszłej żony, czego dowodem, że nadał jej (wiem to z ust babki mojej, rodzonej jego siostry) dla jej wiecznie chorych i zaczerwienionych oczu bardzo mało pochlebną nazwę; wolę ją przemilczeć.

Jakich forteli użyła, by młodego chłopca, wbrew własnemu pierwotnemu poglądowi i woli matki, usidlić — nie jest mi wiadome, dość że usidliła. Ożeniwszy się z nią, sprzedał swój śliczny rodzinny majątek pod Lwowem, Lubień, do którego zniechęciły go rzekomo ówczesne stosunki z chłopami, zerwał ze światem i najbliższymi, osiadł a raczej zamknął się na cztery kłódki, jak pustelnik jaki, w drugim majątku, w Nastasowie na Podolu, z którego napowrót do Lwowa sprowadził się wraz z żoną dopiero w jakie 20 lat później. Syna miał jednego, Stanisława, którego wychował na równego sobie odludka i dziwaka; nigdy w życiu go nie widziałam. — W pożyciu małżeńskiem był, o ile wiem (zresztą sam to w pamiętnikach kilkakrotnie powtarza), szczęśliwy. Czy jednak kroku swego później nie żałował, czy go się poniekąd nie wstydził — powątpiewać wolno, zwłaszcza gdy się widziało, czem został, w porównaniu z tem, czem być obiecywał zamłodu.

Babka moja ogromnie, prawie po macierzyńsku, brata kochała. Był on najmłodszym z rodzeństwa i aż do jej pierwszego zamążpójścia za Stanisława Skarbka, potrochę przez nią wychowywany. Bolała więc bardzo nad tem jego usunięciem się z widowni politycznej, nad zmarnowaniem

wybitnego talentu literackiego i nad rozluźnieniem stosunków rodzinnych. Mówiąc o nim, nazywała go stale „mój biedny Ludwik".

Po powrocie wujostwa do Lwowa, przypuszczalnie około r. 1868, babka starała się dawne węzły zacieśnić, o ile na to jego dzikie, zgorzkniałe usposobienie pozwalało; odwiedzała go czasami, a i wuj na Chorążczyznę parę razy do roku zachodził, ciotka zaś, już stara, chora i coraz mniej widząca, mieszkania nie opuszczała nigdy.

Było u nas w zwyczaju, że mnie od czasu do czasu, jakoby w zastępstwie dziadostwa, posyłano wraz z moją boną, a później z nauczycielką, odwiedzać starszych krewnych. Do jednych z nich czułam, jak to zwykle bywa u dzieci, pociąg i sympatję — do drugich, jeżeli nie odrazę, to przynajmniej brak sympatji. Wizyta u wujostwa Jabłonowskich nie należała ani do zabawnych ani do przyjemnych. Mieszkali oni na ulicy dawniej Frenela, dziś Kościuszki, w jakiejś ciemnej kamienicy na parterze. Po zaanonsowaniu wprowadzał nas służący do zimnego, pustego, w szarozielony ohydny szablon malowanego saloniku, w którym stała jedna jedyna czarna ceratowa kanapa a przed nią stół i kilka krzeseł.

Po chwili wsuwała się ciotka, w nieodstępnem towarzystwie ulubionego pinczera, który głośno szczekając, krążył wokoło moich łydek, co mi sprawiało dużo a niemiłych emocyj. Ciotka zawsze tak samo, w brunatną suknię staroświeckiego kroju ubrana, na głowie miała widocznie dopiero co nałożony biały czepek z zielonemi, rozwiązanemi wstążkami i takiż sam zielony daszek nad czerwonemi oczyma. Witała nas uśmiechem, który mi się wydawał ironicznym a mało serdecznym. Uspokoiwszy pieska, podawała mi rękę do pocałowania, zasiadała na kanapie, ja obok niej na krzesełku i rozpoczynała się

ceremonjalna, stereotypowa rozmowa po francusku — pytania kolejne o zdrowie dziadka, babki, ojca, brata, o moje nauki i t. d.

Czasami urozmaicało wizytę wejście wuja, a wówczas następowała powtórka pytań i odpowiedzi. Po dziesięciu minutach tego egzaminu żegnałyśmy się i wychodziły, odprowadzane *da capo* zajadłem szczekaniem mało gościnnego faworyta. Oto stosunki, jakie mnie łączyły z bratem babki i jego żoną. Patrząc na nich oczyma dziecka, uważałam ich oboje za zgrzybiałych staruszków, choć jak liczę teraz, wuj mógł mieć wówczas zaledwie pięćdziesiąt kilka lat. Również instynktem dziecka (a instynkt ten bywa często trafny) odczuwałam u obojga brak serca; wiało od nich chłodem.

I oto po kilku latach stała się rzecz dziwna, a potwierdzająca poniekąd moje przypuszczenie, że nietylko samo więzienie, ale zarazem i zewszechmiar niefortunne małżeństwo spaczyło charakter wuja. Ciotka Ludwikowa umarła pierwsza, a wkrótce po niej zeszedł z tego świata w Nastasowie i syn jej jedyny, Stanisław. Te dwa ciosy, szybko po sobie następujące, zamiast doreszty złamać zgryźliwego i osamotnionego starca, oddziałały nań odwrotnie; zdało się jakby zwolniły jego barki czy serce — z przygniatającego dotąd ciężaru. Zmienił się do niepoznania, odmłodniał, przestał unikać ludzi, zbliżył się do rodziny. Na święta Bożego Narodzenia w roku 1877 czy też 1878 zjechał mimo srogiej zimy do wujostwa Szeptyckich do Przyłbic, był rozmowny, wesoły, dowcipny; śmiał się ze starszymi, żartował z dziećmi — jednem słowem, inny z niego stał się człowiek, co uderzyło wszystkich obecnych.

Jeżeli nieraz o umarłym się mówi „szkoda go“ — o nim to samo, ale za życia, powiedzieć było można. W Polsce fakt to, niestety — nierzadki.

Co się tyczy pamiętników wuja Jabłonowskiego (mocno, jak mi mówiono, zmienionych przez wydawcę) oraz zawartej w nich charakterystyki dziada, zauważył pewien krytyk, że mając na względzie ciętość i zjadliwość ogólnych jego poglądów, obszedł się on ze szwagrem jeszcze dość łaskawie. Ładna mi łaskawość! W każdem słowie przebija tyle niechęci, nawet więcej niż niechęci, iż możnaby go posądzić o wchodzący w grę jakiś żal osobisty. Czy rzeczywiście zaszło kiedy między nim a dziadem poważniejsze nieporozumienie, nie wiem i wątpię, boby się coś było o uszy moje obiło.

Zdaje się więc, że zbyt sympatyzował z pierwszym mężem mojej babki, Skarbkiem, aby się móc przekonać do drugiego i bezstronny, jeżeli nie przychylny, sąd o nim wydać. Zarzucał on dziadowi memu rozmaite wstrętne wady, które charakterowi jego najzupełniej były obce: „pozowanie", „skąpstwo", zachowanie się „względem sług mroźne, względem podrzędnych niezmiernie pyszne"....

Każdy śmiertelnik ma swoje słabostki, a i święci Pańscy wolni od nich nie byli; miał i dziad mój swoje, nie przeczę, ale zgoła innego były one rodzaju. O jakiemkolwiek pozowaniu nigdy mu się ani śniło; oszczędność posuwał może w ostatnich latach za daleko, ale zwłaszcza i jedynie względem własnej osoby.

Główną jego wadą była wszystkim Fredrom właściwa niecierpliwość i gwałtowność, pociągająca za sobą częste wybuchy gniewu, których poniewczasie żałował. Szczególnie w późnej starości, gdy skutkiem postępującej sklerozy brakowało mu coraz częściej w rozmowie najzwyklejszych wyrazów, gdy np. przy stole zażądać chciał jakiegoś przedmiotu, a wobec chwilowej niemożliwości wysłowienia się napróżno się wysilał, a każdy z obecnych coraz to inne, fałszywe słowo mu podpowiadał, wpadał w gniew, unosił

się na drugich i na siebie, narzekał na swój upadek umysłowy i niedołęstwo... Przykre to bywały sceny.

Babka korzystała z nich, aby nas później, w nieobecności dziadka, moralizować, a ubolewając nad jego kalectwem, nawoływać do wyrozumiałości dla niego.

Poza tą gwałtownością, z którą zresztą wszyscy byli mniej więcej otrzaskani, stanowczo zaprzeczyć muszę zarzutowi, jakoby był pyszny i dla otoczenia swego przykry.

Za dawnych patrjarchalnych czasów można było sądzić o charakterze i usposobieniu chlebodawców według składu ich domowników. Gdzie służbie było dobrze, gdzie się z nią po ludzku, po przyjacielsku obchodzono, tam też długie lata, a często i żywot cały spędzała, tworząc jakby część rodziny. Nikt wówczas o ciągłych zmianach miejsca, o rzekomej poprawie bytu i nieustannych przeprowadzkach, jak dzisiaj, nie myślał. Najlepszym więc dowodem słuszności mego twierdzenia jest chyba fakt, że służący mego dziada, poczciwy nasz Szymon Kruczyński, przyjęty pierwotnie za chłopca kredensowego, a zczasem na stanowisko zaufanego „kamerdynera“ posunięty — pełnił obowiązki swe przez 40 lat zgórą, dziada otaczał najczulszą opieką, a przywiązania swego dał nam niezliczone dowody. On też razem z nami klęczał u łoża śmiertelnego swego pana, gorącemi zalewając się łzami. O reszcie służby w dworku mówić będę na innem miejscu; teraz jeszcze jedno twierdzenie wuja sprostować pragnę.

Rzeczą powszechnie znaną i zrozumiałą jest fakt, iż człowiek stary, długą, uporczywą chorobą trapiony, z biegiem czasu staje się bezwiednie egoistą i na niewygody otoczenia obojętnym. Jak pełnym serca i troskliwości dla osób go pielęgnujących był dziad mój, poświadczy najlepiej okoliczność, napozór błaha, a która dlatego jedynie

w pamięci mi utkwiła, że niesłychaną wesołość we mnie i w bracie moim wywołała.

W ostatnim okresie życia, podczas blisko dwa lata ciągnącej się, z małemi przerwami, choroby, stale noce spędzać przy dziadku musiała zawodowa pielęgniarka, niejaka pani S., przez dziada „Stupnicką“ przezwana. Dobra, poczciwa kobieta, o jasno blond peruce, nabakier do siwych włosów przypiętej. Otóż pewnego razu, jak nam to nazajatrz pani „Stupnicka“ ku naszej wielkiej uciesze opowiedziała, oświadczył jej dziadek, że niepotrzebnie się męczy, całą noc u wezgłowia jego na niewygodnym fotelu czuwając. Na przyszłość kazał jej położyć się spać na kanapie, dość daleko od łóżka postawionej, a przy łóżku oprzeć jedną z dwóch długich, ciężkich krokwi, których jako podpory podczas silnych ataków podagry używał, zapewniając ją, że w razie potrzeby obudzi ją sam dotknięciem tejże krokwi. Tu nadmienić trzeba, że dziad miał palce skutkiem artretyzmu pokręcone — lewą rękę zupełnie zamkniętą, a w obu mało władzy.

Projektowany sposób budzenia przejął biedaczkę okropnym strachem. Owo rzekome dotknięcie łatwo bowiem przeistoczyć się mogło w niechcące, ale potężne grzmotnięcie kulą po głowie. „Gotów mnie jeszcze kiedy zabić!“ — biadała pani „Stupnicka“. Musiała jednak dla uspokojenia skrupułów chorego udawać co wieczór, że się do snu na owej odległej kanapie układa, a myśmy co rana skwapliwie przybywali ją pytać, ile razy w nocy krokwią po głowie dostała.

Inny jeszcze obrazek na oczach mi stoi, mianowicie pożegnanie dziadka z biednym młodym, studentem, który przez długie miesiące codzień przychodził przepisywać na czysto jego utwory. Kto wie — może dotąd żyje ów student, i jak ja, pamięta i wspomina owe dalekie czasy

swej młodości? A może, dopiąwszy wysokiego stanowiska, woli o twardych początkach karjery swojej zapomnieć...

Praca przepisywania zakończyła się nareszcie — nadszedł kres skromnego zarobku i smacznych obiadów. Młody człowiek po raz ostatni przybył do dworku. — Był smutny odchodząc... W obecności mojej dziadek tłumaczył się, że mimo najlepszych chęci więcej zajęcia już dla niego nie ma, wyrażał mu zarazem swoje zadowolenie, nie szczędził pochwał, a na pożegnanie, odprowadzając go do progu pokoju, po ojcowsku za szyję go objął...

Jak dziad mój, mimo swej mizantropji, był przez wszystkich, którzy go bliżej znali, ceniony, kochany — mogłabym powiedzieć, jak był w kraju „popularny", gdybym za przykładem całej rodziny mojej wrodzonego wstrętu do tego słowa nie miała — wskazują najlepiej korespondencje licznych krewnych, znajomych, sąsiadów i przyjaciół, znajdujące się w archiwum przyłbickiem. Są tam listy, traktujące o sprawach poważnych, społecznych: Czartoryskich, Leona Sapiehy, Alfreda Potockiego, Józefa Załuskiego, Milberga, Wincentego Pola i innych — są filozoficzne, jak W. Skrzyńskiego — są wreszcie i wesołej, lekkiej, czasem bardzo lekkiej treści, wierszem i prozą od braci i sąsiadów, a we wszystkich przebija owa nuta serdeczna, ciepła, poufała, świadcząca o węzłach, jakie łączyły piszących z ich „kochanym, drogim Aleksandrem." I toż miał być człowiek o obejściu mroźnem i pysznem?...

Pan St. Wasylewski rozpoczyna swój szkic o dworku na Chorążczyźnie w książce „U księżnej pani" wyrazami żalu, że Aleksander Fredro tak mało jest znany w życiu swem prywatnem i codziennem. Stara się więc braki te uzupełnić, opisać dworek i jego mieszkańców według obrazka, stworzonego we własnej wyobraźni. Oto co pisze:

„Dużo słońca, trochę niezbędnych drobiazgów codziennych, pończoszka zaczęta (?) i szydełko pani domu na stoliku, wistowym naturalnie (!)“[1].

Widocznie opisuje tu, lecz niedokładnie, pokój dziadka według tegoż fotografji, dalej puszcza już zupełnie wodze fantazji:

„Tu codzień po południu rachuje się „lewe“, wieczorem zaś, gdy uśnie, dopełnia się w głębokiej ciszy obrzęd uroczysty: pan hrabia kładzie pasjanse napoleońskie. Nie widzicie dwojga staruszków, przekomarzających się przy stole? Jakżeż nie, przecież to oni — państwo Jowialscy (!!). Po pasjansach — lektura; na pierwszem miejscu wierszyk, bardzo a bardzo swawolny, jakie tylko bardzo młodym albo bardzo starym ludziom pisać wolno — potem scena z nowej komedji rankiem dopieroco napisana i nadąsana mina, jeśli babcia nie odrazu pojmie i nie po każdej scenie śmiechem wybuchnie...“

Ile słów — tyle niedokładności.

Profesor Kucharski w studjum o Aleksandrze Fredrze ze zgorszeniem przyjął owo porównanie dziada z p. Jowialskim. Przekonana jestem, że p. Wasylewski nie miał zamiaru ubliżyć pamięci autora, którego jest tak gorącym wielbicielem; muszę jednak przyznać, że godzę się w zupełności z krytyką profesora Kucharskiego i że podobnie jak on, i pewnie wielu innych poza nim, uważam to porównanie nietylko za błędne, ale również za bardzo niewłaściwe.

Dziad mój i p. Jowialski?... Jakież u nich mają być rysy wspólne? Jowialski jest staruszkiem wesołym, naiwnym, gadatliwym, lubiącym się droczyć i przekomarzać z godną swoją małżonką i sypiącym bajeczkami jak z rogu

---

[1] Stanisław Wasylewski: W dworku Fredry na Chorążczyźnie. W zbiorze szkiców p. t. „U księżnej pani“. Nakł. Wydawnictwa Polskiego we Lwowie (1918), s. 178.

obfitości; — dziad był od młodości usposobienia melancholijnego — wszystko zawsze widział w czarnych kolorach — spędzał dnie całe w smutnej zadumie i milczeniu i coraz częściej z wiekiem zapadał w okresy chorobliwej hipochondrji, t. z. splinu, z którego jedynie obecność i koncepty wnuków wyprowadzić go były w stanie.

„Dziadzio smutny — idźcie, dzieci, go zabawić!“ — oto zdanie, któreśmy nieraz z ust babki słyszeli. Nigdy, przenigdy, jak daleko pamięć moja sięgnie, z babką żartów żadnych nie wymieniał, nigdy nikomu bajeczek ani anegdotek — nietylko że nie opowiadał, ale opowiadać wręcz nie umiał! Jest to jeden z ciekawych rysów jego umysłowości, że on, którego niezrównana werwa tyle pokoleń do śmiechu pobudzała i po dziś dzień pobudza — sam śmiechu prawie że nie znał; dowcipami sypał, ale tylko z piórem w ręku.

Gdy które z nas wnuków zachorowało i w łóżku leżeć musiało, dziad nasz, zaraz ogromnie zaniepokojony, przychodził nas odwiedzić. Zasiadał wtedy przy łóżku, pytał troskliwie o objawy niedomagania i z westchnieniem powtarzał: „O nie lubię, nie lubię, jak dzieciska chorują“... Ileż to razy w takich okolicznościach zwracałam się do niego z prośbą: „Niech mi dziadzio coś opowie!“ I dostawałam zawsze tę samą odpowiedź: „Kiedyż ja nic nie umiem...“ a gdy nalegałam z natręctwem dzieciom właściwem, namyślał się długo i wkońcu mówił: „No! dobrze! Jak chcesz, opowiem ci historyjkę o krawcu i słoniu...“

Ale tu gwałtowny zakładałam protest: „Ach nie, dziękuję! Tę historję znam przecie napamięć!...“

Istotnie, znałam ją napamięć; nie było w tem sztuki, bo innej z ust dziada nie słyszałam nigdy, a skomplikowaną nie była wcale: Słoń, ukłuty pewnego razu w ogrodzie zoologicznym przez krawca szpilką w trąbę — zemścił

się w kilka dni później, puszczając na tegoż krawca strumień zimnej wody, kropka — koniec i morał: złe czyny kara spotyka zawsze na tym świecie jeszcze. Lecz ja od dzieciństwa do morałów czułam wstręt wrodzony. Wobec takiej sytuacji nie pozostawało mi nic innego, jak samej naodwrót, dziadkowi opowiadać własne, napoczekaniu skomponowane brednie. Gadałam więc, gadałam, co mi ślina na język przyniosła, a dziadek słuchał cierpliwie, mrucząc tylko od czasu do czasu pod nosem: „Co za fantazja!“ — To *a parte*, przyznaję, bardzo mi pochlebiało.

Jak już wyżej wspomniałam, rzadko pamiętam go śmiejącego się serdecznie — jak Francuz mówi *à gorge déployée*, co najwyżej uśmiechał się. Bywały jednak rzeczy, zdarzenia, zwłaszcza „facecje“, mogłabym powiedzieć — błahe drobnostki, które go stale rozweselały; i tak widzę go cieszącego się jak dziecko udanem *prima aprilis*, które ciotka Szeptycka mojemu ojcu a bratu swemu urządziła. Widzę tę scenę: a więc ojca, ogromnie wzburzonego i klnącego na czem świat stoi. Przyniósł dziadostwu dopiero co otrzymany list, rzekomo od jakiegoś kolegi z kampanji węgierskiej, w którym kolega ów donosił, iż wybrawszy się we Lwowie na przedstawienie sztuki ojca CONSILIUM FACULTATIS odrazu poznał się w osobie żarłoka Bolbeckiego. Głęboko dotknięty tem sportretowaniem, a raczej skarykaturowaniem, gorzkie za to ojcu robił wymówki a wkońcu żądał, jako zadośćuczynienia za doznaną krzywdę, zupełnego wycofania sztuki z repertuaru teatralnego. Dziadek, wysłuchawszy cierpliwie całego potoku nieparlamentarnych wyrazów, pierwszy ze śmiechem ojca uspokoił i prawdę mu wyjawił.

Podobno i sławna w rodzinie naszej historja Płachetki miała dar stale go rozweselać. Za dawnych czasów, tak dawnych, iż pamięć moja już ich nie dosięga, do tradycji na-

leżało, że stryj Henryk Fredro, najmłodszy brat dziadka i najbardziej do niego dowcipem zbliżony, co roku zasiadał do wigilji czyto w Bachórzu, siedzibie Konstancji z Fredrów Skrzyńskiej, czy też później w dworku na Chorążczyźnie, i co roku, znów tradycyjnie, na usilną prośbę zgromadzonej rodziny opowiadał w właściwy sobie sposób tragiczną przygodę p. Płachetki, guwernera swego i braci, a opowiadał tak zabawnie, z taką niezrównaną werwą i mimiką, że choć wszyscy obecni znali ją napamięć (jak ja historję krawca ze słoniem), mimo to kładli się od śmiechu, jeść przestawali, a służba, narówni z państwem, półmisków odnosić nie była w stanie. — Nam, młodszym, powtórzył ją kilkakrotnie kuzyn mój Seweryn Skrzyński, narrator takoż znakomity; daleko mu jednak było do swego pierwowzoru. Oto w streszczeniu owa historyczna przygoda.

Panu Płachetce poświęcił dziad mój dość obszerną wzmiankę w swoich TRZY PO TRZY — pisze on, między innemi: „Pan Płachetko nic nie robił — nie robiłem i ja nic“. Jakie zresztą były jego inne rozrywki i zamiłowania, o tem dziad milczy. Był on, wiemy to z opowiadania stryja Henryka, rodem z Litwy, miał zwyczaj każde zdanie rozpoczynać od słów: „Żeż panie“, przyczem robił ruch ręką, jakgdyby wszystkiemi pięcioma palcami zgarniał ze stołu szczyptę tabaki.

Mieszkała w tym czasie we Lwowie niejaka pani Dulska, która miała w teatrze swoją własną lożę. Kiedyś niekiedyś — bardzo, zdaje się, rzadko, bo tylko gdy sama z niej korzystać nie mogła, oddawała ją do użytku panu Płachetce i młodocianym uczniom jego, pospolicie w mieście „Frederkami“ zwanym. (Tu nawiasem zaznaczam, że i mnie we Lwowie, w jakie sześćdziesiąt lat później, tem samem mianem „małej Frederki“ obdarzano, co gdy do-

szło uszów moich, głęboko mnie zraniło). Zaproszenia pani Dulskiej oczekiwali „Frederkowie“ zawsze z upragnieniem; gdy przyszło, wywoływało ogólną, szaloną radość. Pan Płachetko dzielił ją bowiem narówni z uczniami swymi, a znowu z panem Płachetką i „Frederkami“ dzielił ją przyjaciel od serca pana Płachetki, Niedzielski, pocztmistrz w Rudkach, którego Płachetko na ten festyn duchowy zwykł był sprowadzać.

Razu pewnego dała pani Dulska znać Płachetce, że loża stoi do jego dyspozycji w dniu przedstawienia dramatu arcyciekawego, jakby wywnioskować należało z samego już tytułu: HERMENEGILDA czyli PUSZCZA POD HERMANSTADEM. Płachetko w te pędy zawiadomił Niedzielskiego, a Niedzielski bez namysłu wskoczył do dyliżansu, kursującego między Rudkami a Lwowem, by się stawić na wezwanie przyjaciela.

Nadszedł wieczór upragniony. Teatr był jeszcze zupełnie pusty (bodaj czy nie ciemny?), gdy towarzystwo całe zajęło miejsca w loży pani Dulskiej; Niedzielski, jako gość z dalekich stron przybyły, a do tego głuchy, najbliżej sceny — przy nim młodzi Frederkowie — p. Płachetko ztyłu. Po długiem oczekiwaniu, kurtyna się podniosła — przedstawienie się rozpoczęło... O chwilo rozkoszna!... Niedzielski otoczył ucho dłonią, by żadnego słowa wypowiedzianego przez artystów nie uronić — Frederkowie pootwierali szeroko oczy, a może i gęby w zachwycie, p. Płachetko, jak czujny żóraw, wyciągnął ponad ich głowami szyję... Wtem nagle, znienacka, do zamkniętej loży gwałtownie pukać zaczęto... Płachetko z początku udawał, że nie słyszy, ale gdy dobijania coraz natarczywszemi się stawały, zawołał wreszcie półgłosem: „Żeż panie!... A cóż to za bałwan takie hałasy wyprawia?“

I w wielkiem oburzeniu, drzwi od loży uchyliwszy,

ujrzał przed sobą pana prezydenta sądu lwowskiego w własnej osobie i w otoczeniu licznej rodziny; rozpoczęła się pomiędzy nim a Płachetką wymiana słów, prowadzona początkowo w formie grzecznej i głosem przyciszonym — później coraz to głośniejsza, gwałtowniejsza i groźniejsza...

Niezbitym faktem okazało się, że zacna pani Dulska ciężko w tym wypadku zawiniła, ofiarując przez roztargnienie lożę swoją aż dwom stronom naraz, z których z jedną łączyły ją — jak złe języki mówiły — nader czułe stosunki. O zgodzie, a nawet jakimkolwiek kompromisie mowy być nie mogło, zwłaszcza wobec podniecenia umysłów i ciasnych rozmiarów loży. Może p. Płachetko pomyślał sobie w duszy: „Mądry głupiemu ustępuje“ — może i nic nie miał czasu pomyśleć... Dość, że on i uczniowie jego zostali jak niepyszni wyproszeni, żeby innego wyrazu nie użyć, z przybytku sztuki...

A podczas tych burzliwych dysput i groźnych wymówek, poczciwy Niedzielski, o bożym świecie nie wiedząc, a tem mniej o tem, co się za plecyma jego działo, siedział spokojnie z dłonią przy uchu, wpatrzony i zasłuchany w rozwijającym się przed nim dramacie. Nagle — istny piorun z jasnego nieba — potrząsnęła nim ręka brutalna, a rozkazujący, gniewny głos huknął mu prosto w bębenek:

„Wynosić się!... Za drzwi!... A prędko!...“

Zerwał się biedak na równe nogi, ale zanim zdołał pojąć, o co chodzi, i wykrztusić z siebie okrzyk protestu, już znalazł się na korytarzu obok swoich skonfundowanych wspólników niedoli. Cóż było robić? Chcąc niechcąc, tak srogo pokrzywdzone towarzystwo, złorzecząc z głębi oburzonej duszy pani Dulskiej, grubjańskim intruzom i światu całemu w ogólności, a zaś panu prezydentowi sądu lwowskiego w szczególności — postanowiło wrócić do domu.

Po drodze jednak p. Płachetko na nowy wpadł pomysł. Pragnąc uśmierzyć słuszne rozgoryczenie uczni swych i przyjaciela, a choćby w części wynagrodzić im doznany zawód, zaprosił ich do cukierni na lody i ciastka. Ale kiedy srogie fatum raz się na człowieka uweźmie, daremna z niem walka... I tak powtórnie dało się ono ofiarom swoim we znaki; ów krótki postój w cukierni, miasto przynieść duchowi ukojenie i wesele, wręcz przeciwny odniósł skutek... Wszyscy bowiem uczestnicy nieszczęsnej tej wyprawy, bez wyjątku, ciężko się w parę godzin potem pochorowali i resztę nocy spędzili w sposób przykry, aczkolwiek urozmaicony.

Taki to był sromotny epilog wieczoru, tak gorąco upragnionego, tak długo i niecierpliwie oczekiwanego, a PUSZCZA POD HERMANSTADEM nigdy żadnemu z młodych „Frederków" tajemnicy swej nie wyjawiła... Natomiast przygoda p. Płachetki et consortes na wieczne czasy im utkwiła w pamięci, a wspomnienie jej przeszło do potomności.

Gdy już mówię o dawnych, wesołych przygodach z czasów młodości mego dziada i stryjów — jakże tu pominąć milczeniem epizod drugiego, tym razem amatorskiego przedstawienia, zupełnie inaczej, ale równie tragicznie a może i tragiczniej jeszcze przedwcześnie zakończonego...

Pominąć milczeniem — szkoda!... Opowiedzieć?... Sztuka niełatwa, bo przygoda, choć w salonie zaszła, była mocno niesalonowa.

Od subtelności autora zależy wprawdzie kunszt opowiedzenia rzeczy drastycznej w sposób przyzwoity — ba nawet wytworny... O własnym talencie literackim trudno sądzić bezstronnie; zdaje mi się jednak, że jest on u mnie na wysokości śliskiego tego zadania. Jeżeli się waham, to głównie dlatego, że stoi mi w pamięci aksjomat,

niezliczone razy przez dziada mego, śród rozmaitych rad autorskich ojcu memu powtarzany:

„Publiczności trzeba zawsze wszystko kłaść łopatą do głowy — a nigdy nie liczyć na ewentualność, że się czegoś sama domyśli, bo na pewno się nie domyśli".

Aksjomat ten dowodzi niezbicie, że dziadek miał mało pochlebne wyobrażenie o bystrości umysłowej szerszej publiki. Coprawda — między publiką teatralną a czytelnikami znaczna zachodzić powinna różnica. Ci ostatni bowiem mają wszelki czas do namysłu, zgłębienia i zrozumienia pod lekką zasłoną wypowiedzianych, a raczej wyszeptanych insynuacyj autora. — Niewszystko przecie bywa na tym świecie tak, jak być powinno.

Muszę przyznać, odchodząc nieco od tematu, że się najzupełniej godzę z tym dziadka poglądem. I ja kiedyś napisałam obraz fantastyczny pod tytułem „Pogrzeb", który po długiem wahaniu, jedynie za radą Solskiego i Kotarbińskiego, zdecydowałam się na scenie wystawić. Był on grany raz jeden i ostatni we Lwowie w roku 1920 pod tytułem „Dziś i jutro" (na więcej przedstawień nie pozwoliła klika żydowsko-demagogiczna — słowa dyrektora Tarasiewicza). Alegorja w nim zawarta wydawała mi się aż nadto przejrzystą. Otóż tak śród audytorjum jak i śród licznych krytyków, którzy mnie nietylko w niemiłosierny sposób zjeździli — nie znalazł się nikt — wyraźnie powtarzam nikt któryby był myśl moją przewodnią zrozumiał i — co za tem oczywiście idzie — należycie i osobno napiętnował... Brak „łopaty" dał mi się we znaki; na drugi raz, o ile jeszcze coś napiszę i wystawię, nie omieszkam jej użyć.

Wracam do rzeczy. Mimo przestrogi dziada i własnego doświadczenia, opowiem tu tę starą fredrowską dykte-

ryjkę jak najdyskretniej, w błogiej nadziei, że ci z czytelników, którzy ją bez pomocy łopaty zrozumieją, zbytnio się nią nie zgorszą. Dla uniewinnienia mego przypominam, że ojciec mój słyszał ją z ust dziadka i dalej powtórzył.

Zdarzenie to pochodzi z początków przeszłego wieku. Najstarszy brat dziadka, Maksymiljan, późniejszy jenerał-major wojsk polskich, liczyć mógł wówczas lat mniej więcej szesnaście. Oddany był już zatem, przypuszczalnie na zakończenie wychowania, do Puław i tam zapewne, śród rozmaitych gier towarzyskich, z takiem zamiłowaniem przez jenerałową ziem podolskich uprawianych, powziął on zamiar urządzenia na dzień imienin ojca swego, pana Jacka, przedstawienia amatorskiego. Jak dzień ten 17 sierpnia obchodzono w Beńkowej Wiszni — sam dziad w pamiętnikach opisuje:

> Dwa razy do roku, — są to słowa jego — na 2-go lipca i 17-go sierpnia, zjazd bywał wielki... Obiad w ogrodzie, pod lipami... bal noc całą... iluminacja...

Uroczystości te, rok rocznie, gromadziły więc prócz bliższej, i tak już licznej rodziny, również wszystkich sąsiadów w komplecie. — Tym razem, przed balem, postanowiły starsze dzieci zagrać teatr. Z kogo składała się trupa młodocianych artystów, na jaką sztukę padł ich wybór, czy nie był to może jakiś utwór okolicznościowy pióra samego stryja Maksymiljana?... Tyle pytań, niestety, bez odpowiedzi... Nie ulega jednak wątpliwości, że jakiś udział musiał brać w przedstawieniu i mój dziadek.

Nadszedł dzień 17 sierpnia — zapadł wieczór — goście z pod lip wrócili o naznaczonej godzinie do bawialnego pokoju (jeszcze za mojej pamięci tak zawsze salon nazywano) — zajęli miejsca przed spuszczoną kurtyną, bodaj czy nie z prześcieradła utworzoną; w pośrodku

zasiadł oczywiście solenizant, pradziad mój — obok niego prababka, starszeństwo, okoliczni matadorzy... Chwila rozpoczęcia była bliska...

A tymczasem, za kulisami wrzało życie, panował rozgardjasz, o jakim ci tylko pojęcie mieć mogą, którzy go z własnego doświadczenia zaznali... Ileż to razy przeżyłam

Oficyna pałacu w Beńkowej Wiszni.

ja takie przejścia!... Tu zrozpaczona artystka szuka gorączkowo jakiegoś zagubionego a niezbędnie jej potrzebnego przedmiotu — tam w kącie, względnie odosobnionym, niejeden aktor szeptem powtarza trudną a niedość dobrze wyuczoną rolę — po scenie, za sceną, wkoło sceny uganiają artyści i ich pomocnicy, depcąc sobie po nogach

i nawzajem przeszkadzając — napomnienia, przestrogi, prośby i groźby krzyżują się w powietrzu — nieszczęsny reżyser napróżno wzywa do porządku... Znane, znane to dzieje!...

Śród tego zamieszania przyszła do stryja Maksymiljana deputacja dziewczyn garderobianych, z nieśmiałą, ale gorącą prośbą, aby im pozwolono, chociażby zdaleka, przypatrzyć się niezwykłemu widowisku. Czasy nie były jeszcze, jak dzisiaj, demokratyczne, a wstęp do salonu bosej służbie w roli widzów, stojących w drzwiach sąsiedniego pokoju jako galerji, był ostro wzbroniony.

Stryj miał jednakowoż dobre serce, lubiał bliźnim robić przyjemność; po namyśle więc postanowił umieścić ciekawe dziewczątka za ciężką, długą kotarą, zasłaniającą okno na samej scenie, a przez której szpary, mogły widzieć doskonale o dwa kroki od nich rozgrywające się przedstawienie. Zalecił im jednak surowo nieruchomość zupełną i grobowe milczenie, aby ich obecności w tem miejscu żaden znak życia nie zdradził publiczności. Obiecały święcie zastosować się do jego rozkazów i pary z ust nie puścić.

Wybiła chwila stanowcza — odezwał się dzwonek — kurtyna się rozsunęła... Zaległa w sali wielka, uroczysta cisza... Stryj Maksymiljan, mocno zemocjonowany, wystąpił na przód sceny. Musiał on być pociesznie ugrymowany, bo zanim jeszcze zdołał wypowiedzieć pierwsze słowo swego monologu — dały się wyraźnie słyszeć stłumione za kotarą chichoty. Chcąc groźnem wejrzeniem zgromić przestępczynie i tem samem kres położyć niewczesnej ich wesołości, rzucił niebacznie okiem w ich stronę i — o zgrozo!... ujrzał nagle wąską strugę, z pod kotary wypływającą i z błyskawiczną szybkością, jak górski strumyczek śród burzy, zmierzającą ku środkowi sceny...

Gwałtowny, a tłumiony śmiech bywa czasami w skutkach swych nieobliczalny — ale i wybuch jego raptowny a niespodziewany może również pociągnąć za sobą opłakane następstwa...

Tak się stało i teraz — stryj Maksymiljan, na widok strugi, parsknął śmiechem — i oto, dwa naraz zmysły u widzów, zmysł wzroku i zmysł słuchu, zostały, niemal równocześnie, srodze obrażone...

Zdumienie publiczności wywołało konsternację u aktorów. Stryj Maksymiljan, w tej tak tragicznej chwili życia, oniemiał z przerażenia, a bracia czem prędzej kurtynę zasunęli. Tak to na tem krótkiem, a nieoczekiwanem przedstawieniu zakończyła się wzniosła uczystość imienin pana Jacka. Jak za nią pan Jacek synowi podziękował — historja nie mówi.

Dałam się unieść ubocznym wspomnieniom, za co czytelnika najmocniej przepraszam — na przyszłość obiecuję poprawę.

Wracając do historji dworku naszego, zdaje mi się, żeby zaznajomić tych, którzy, jak p. Wasylewski, są tegoż ciekawi, z trybem naszego ówczesnego życia, należy najpierw kilka słów o składzie jego i ustroju powiedzieć.

Po śmierci matki mojej, ojciec mój, jak o tem już w części I mówiłam, przeniósł się z Beńkowej Wiszni do Lwowa. Krok ten kosztował go wiele, uczynił bowiem ofiarę z prawdziwego powołania swego, którem była wojskowość. Do niej czuł on przez życie całe pociąg nieprzeparty; od najwcześniejszej młodości, owianej tchnieniem epopei napoleońskiej, pragnął być żołnierzem — niczem więcej. Do nauki ochoty nie czuł żadnej, nigdy. Historja jego egzaminu dojrzałości, przez niego samego tylokrotnie nam opowiadana, stanowiła dla młodszego pokolenia, zwłaszcza dla siostrzeńców jego Szeptyckich, temat nie-

wyczerpanej wesołości. Zapytany przez profesora fizyki, Niemca oczywiście: *Was ist Chlor?* odpowiedział bez namysłu, na chybił trafił: *Eine Verbindung von Sauerstoff und Stickstoff.*

Odpowiedź ta zaskoczyła profesora tak gwałtownie, że się obiema rękoma uderzył w upudrowaną perukę, aż biały tuman, nakształt aureoli, sędziwą mu głowę okolił. Więcej już ojca nie pytał, ale — o dziwo! dał mu cenzurę *gut*, a w dodatku tłumaczył się jeszcze, że mimo najlepszych chęci nie może mu dać *mit Vorzug*. Z innymi profesorami gorzej się ojcu poszczęściło — egzaminu tym razem nie zdał. Dziad mój, niezbyt surowy, po powrocie syna do domu, przywitał go słowami: „No! Już z miny twojej domyślam się rezultatu egzaminu — przepadłeś, co?... Mniejsza o to!"... I machnął tylko ręką.

Kiedy, mając lat dziewiętnaście, przyszedł do dziada zwierzyć mu się z zamiaru przyłączenia się do powstania węgierskiego w nadziei, że w następstwach może się ono i dla Polski okazać korzystnem — dziadek, aczkolwiek nie łudził się co do przypuszczalnego wyniku walki, odrazu dał swoje zezwolenie, bo — jak powiedział — był na krok ten jego przygotowany.

Znając wielką miłość dziadka dla dzieci, wyobrazić sobie mogę aż nadto dobrze, co w duszy jego się działo, gdy wyprawiał syna na wojnę. Ale i on był niegdyś żołnierzem, więc napozór przynajmniej zachował spokój. Inaczej babka. Po wyjeździe ukochanego nad wszystko jedynaka, rozpacz jej nie znała granic, jedyną jej myślą stała się troska o niego, nieskończenie długie godziny spędzała codziennie na modlitwie po kościołach, zalewając się przytem łzami tak gwałtownie, że osoby zupełnie obce, z widzenia ją tylko znające, przybliżały się do niej ze słowami pociechy.

Jan Aleksander Fredro w mundurze węgierskim.

Z okresu tego pozostały dwa listy dziadka do syna — listy, które go nie doszły nigdy — są dziś własnością Leona Szeptyckiego przytaczam obydwa, chyba trudno o piękniejsze.

* * *

D. 10 X-bra 848. B. W.

Najdroższy mój Olesiu.

Odebraliśmy przedwczoraj twój list z 26 pm. Jaką był dla nas pociechą nie potrzeba ci mówić, pociechą jedyną, pierwszą od twojego odjazdu. — Pisaliśmy do Ciebie ale pewno i do dziś dnia nie odebrałeś, i Bóg wie czy i ten list odbierzesz. Nie będę ci taił, że naszą boleść serca ta myśl jedynie łagodzi, że to życie wojskowe, któreś był zrobił celem swoich życzeń może kiedyś na twój charakter pomyślny wywrze skutek. Ale teraz, kiedy sam w świat rzucony, kiedy znajdujesz się między ludźmi zupełnie ci obcemi, proszę cię i zaklinam, miej się ciągle na własnej straży. Staraj się zawsze odgraniczać przyjaźń koleżańską, obozową od przyjaźni istotnej. — Nie obieraj łatwo przyjaciela, bo przyjaciel rzadka i trudna zdobycz — bo jak wiesz trzeba beczkę soli zjeść nim się kogo dokładnie pozna. — Ile prawdziwy przyjaciel jest skarbem, tyle fałszywi, odziani tylko w płaszczyk przyjaźni są dla każdego młodego największem niebezpieczeństwem. Nigdy o tem tyle pamiętać nie trzeba, ile w tych czasach wzburzenia etc. To ci powtarzam co ci wyda (się) nic nowego. Jesteś żołnierzem, bądź więc nim, a będąc w obcym kraju nie wdawaj się w partje, w politykę. Pilnuj więcej konia, broni i obozu, jak stronniczych schadzek — bo w twoim wieku łatwo można być wplątanym, skąd przykro się później cofać. Jak do nas piszesz, pisz najwięcej o sobie, choćby najmniejsze szczegóły — o twoim zdrowiu, powodzeniu, troskach i uciechach — tego nam potrzeba jedynie, tych tylko wiadomości wyglądamy z upragnieniem, politykę zostaw starszym. Może zrobiłeś jaką znajomość w Ungwarze, więc najlepiejby było, abyś pisał pod adresem tej osoby frankując listy — tak by się znów łatwiej do Użoku dostały i dalej do nas — bo wątpię aby się uda-

wało nadal przez pocztę odbierać listy od ciebie. — Dobry twój humor, dobra nadzieja i opis twojego życia, były dla mnie wielkiem zaspokojeniem, przynajmniej takiem jakiego teraz można żądać. Byle tobie było dobrze na tym świecie, to już o sobie nie chcę myśleć. — Twoja kochana Mama nadto żyje w trwodze i niespokojności o Ciebie, aby te same jak ja znaleźć pociechy, ale oboje zgadzamy się z wolą Boga, którego błagamy z ufnem sercem o błogosławieństwo dla Ciebie, drogie i kochane dziecię.

My dotychczas na wsi, raz że oczekiwaliśmy wiadomości o tobie, powtóre, że drogi nieprzebyte, a nareszcie, że Lwów będzie dla nas nieznośnym, tu więc adresuj listy — tu nam przynajmniej nikt nie radzi, nikt zapóźnych nierobi uwag. — M. i D. często bywają i zawsze szczerej przyjaźni dają nam dowody. Co się dzieje z familją nie wiemy, bo prócz Ksawerów nikt nie pisuje. Z pieniądzmi co tam masz trochę, ostrożnie, tak co do wydatku (bo trudno kasę wzmocnić, jak potrzeba), jak i do pilnowania się, aby Ci nie ukradziono, dlatego jednej sekundy, zwłaszcza przy ubieraniu się, nie rozłączaj się z chudą twoją sakiewką. Bądź przytem pewny, że ja ciągle myślę o tobie. Myśl i ty często o nas, pamiętaj nas zaspakajać o sobie, jak tylko to się da czynić. — Listów prócz do nas nie życzę ci dużo tu pisywać, bo jak mówiłem, trudno, aby dochodziły; a w listach pamiętaj nikogo nie kompromitować. Jeszcze raz powtarzam, politykę zostaw starszym... Zosieczka teraz Bogu dzięki dosyć zdrowa... Przepędzamy tu czas, jak za twojej bytności — wieczór przy łóżku Mamy; mało czytamy, więcej rozmyślamy, o kim — łatwo zgadniesz. Ćwiartka się kończy, trzeba Mamie i Zosi miejsca zostawić. — Z przykrością kończę, bo zdaje mi się, że się z tobą rozstaję. — Bywaj zdrów i dobrej myśli

moje najdroższe dziecię. — Niech cię Bóg wszędzie prowadzi, niech cię strzeże i kiedyś wróci Rodzicom, o to go błagać nie przestaniemy — T... tysiączne najserdeczniejsze pozdrowienia.

Dopisek babki mojej, Zofji z Jabłonowskich Fredrowej:

Moje dziecię ja niedługo ci piszę, bo z serca mego trudno wydobyć słów, któreby cię nie zasmuciły; codzień między 8-mą a 9-tą rano, między 9-tą a 10-tą wieczór, obrócona w tę stronę, gdzie ty jesteś, daję ci moje uroczyste błogosławieństwo, przyjmuj je pobożnym sercem, bo żebyś ty wiedział, co się w moim dzieje, tobyś przyznał, że trzeba być więcej jak ateuszem, aby nie wierzyć w modlitwy, w błogosławieństwo matki.

Zawsze pamiętaj, że tę resztkę szczęścia, które Bóg naszym siwym głowom zostawił, w twoim jest ręku, dla tego nie unikaj, ale nie szukaj niebezpieczeństwa, bo nasze życie a twoje to jest jedno. — Adieu, nie mogę więcej pisać. — Adela jest dla nas drugą córką, nas pociesza, jak może, za ciebie się modli codziennie — Bóg jej to kiedyś nagrodzi. Pozdrów ode mnie T... do jego żony często pisuję, jest w B. zdrowa równie jak dzieci — miałam list przed kilku dniami.

Dopisek siostry 11-letniej Zosi Fredrównej:

Pisałam już raz do ciebie, ale wątpię, żeś dostał ten list, bobyś mnie był odpisał. Przepra (szam) cię, że tak źle piszę, ale nie mogę inaczej, bom się w palec skaliczyła, ściskam cię serdecznie. Twoja Siostra.

Dziękuję ci za te pare słów, coś dla mnie napisał i za twoją pamięć o mnie.

Po tych dwóch dopiskach dziad dodał jeszcze następujący:

Jak będziesz zmieniał miejsce pobytu, uproś zawsze sobie kogoś z miejscowych, aby ci list przesłali. — Jeszcze raz przyciskam cię do serca mojego, jeszcze raz cię bło-

Szarża pod Temeszvarem (rysunek Jana Al. Fredry).

gosławię i Bogu powierzam. — O swojem zdrowiu pamiętaj, zwłaszcza kaszel nie zaniedbuj, jeżeli cię nawiedzi — lepiej zawsze parę dni odsunąć się od służby, jak przez zaniedbanie w dłuższą wpaść chorobę. — Adieu, adieu drogie moje dziecię; nie zaniedbuj zwracać serca do Boga, to ci niezawodną ulgę w strapieniu przyniesie i nadziei doda większej mocy. — Bywaj zdrów.

* * *

Dn. 28. X-bra 1848 z B. W.

Kochany drogi i Najdroższy mój Olesiu — odebrałem dwa twoje listy z U... i z P... pierwszy nawet później — pisałem także do Ciebie, ale zawsze tak jak i teraz ze słabą nadzieją, że cię dojdzie aby jeden list. — Co się tam z tobą dzieje? — to teraz jedyna nasza myśl w dzień i nocy, zdaje się, że już innej świat dla nas nie ma. — Oby cię zawsze Bóg na dobrej utrzymał drodze i strzegł od zwodniczej namowy fałszywych przyjaciół. — O co zawsze Cię prosiłem, i teraz powtarzam, rzucaj często okiem wkoło siebie, na ludzi i rzeczy, abyś zgłębiając stan położenia mógł się kierować własnem przekonaniem. My dotychczas jeszcze na wsi, bo drogi nie do przebycia, niema się wprawdzie i poco spieszyć do Lwowa do zimnego i pustego domu, do niewczesnych doradzców — natrętnych pocieszycieli. — Mama ciągle cierpiąca — Zosia Bogu dzięki dobrze wygląda — spodziewam się, że święta weselej przepędziłeś może o kawałku chleba w obozie, niż my. — O mój drogi Olesiu, w Bogu tylko nadzieja, że kiedyś znowu połączeni będziemy — dlatego nie filozofuj, nie zgłębiaj, czego zgłębić nie można, ale ufnem, otwartem dziecięcem sercem zwracaj się do najwyższej Istności — wzmacniaj w sobie wiarę w jej niedosiągniętą ludzkim rozumem mądrość — bo wiara będzie twoją

pociechą w strapieniu a przewodnią w pomyślności. Zwracaj myśl do Boga i proś Go jeżeli nie za siebie to przynajmniej za Rodziców, którzy w Jego łaskę wierzą, za rodziców, którzy cię kochają nad wszelkie pojęcie. — Kilka razy jedno powtarzam pisząc do Ciebie, bo raz że troskliwość moja o twoje dobro jest jedyną myślą moją a po wtóre, że pisząc, nie jestem pewny, czy aby jedną kartkę odbierzesz — powtarzam więc nie wdawaj się w twoich listach w politykę ale donoś tylko o swojem powodzeniu. Czegoż nam więcej trzeba? — Jak odebrałem twój list z S. przez pocztę, nie wierzyłem oczom moim, Zosia pierwsza twoje pismo poznała, ach dobry, dobry, jedynej pociechy był to moment. — Jeżeli zrobiłeś jaką znajomość w Un. to najlepiej pod adresem tej osoby pisać, tem prędzej znajdzie sposobność przysłania tu listu. M. i N. często nas odwiedzają, są dla (nas) aniołami pociechy. — Ksawery był tu na moje a raczej na nasze imieniny — piliśmy twoje zdrowie — życzyliśmy Ci wszelkich pomyślności, oby nas Bóg łaskawy raczył wysłuchać. — Coś mi pisał o Abukirze, nie bardzo mi się podoba — jeżeli narowisty, staraj go się pozbyć, bo w kampanji narów w koniu jest największą wadą — lepszy koń co niebardzo biega, nietęgo skacze, a co robi to, co mu się każe, jak koń z wielkiemi zaletami a przez narów całkiem nieużyteczny.

Nie trać też, zaklinam cię na twoje do nas przywiązanie z oczu twojego indywidualnego położenia — jestem nadto przekonany, że nigdy nic takiego nie zrobisz, coby nie było zgodnem z honorem, ale z drugiej strony nie daj się powodować obcem zdaniem, które częstokroć pod pozorem najczystszej cnoty ukrywa tylko własny interes wypływający z indywidualnego stanowiska. Pamiętaj o sobie a nie zapominaj o nas. — Staraj się pogodzić na dro-

dze honoru obowiązki żołnierza, któreś przyjął na siebie, z powinnością dobrze zrozumianą Polaka i człowieka. Wszystko to są, ja wiem, rzeczy znane, des lieux communs si tu veux, ale ja wiem, także że nie lubisz trudzić się zastanowieniem, zgłębianiem istoty rzeczy, dlatego nie mogę dość często Ci to przypominać, budzić Cię poniekąd de cet état d'une certaine nonchalance à laquelle tu as été toujours un tant soit peu enclin. — O mon ami ne crois pas que je veuille te faire des leçons de morale intempestives, ou que je veuille te faire quelques reproches. — Dieu m'en garde — je ne vois, je ne sens que mon attachement pour toi et si je fouille dans ton caractère, c'est pour arrêter, pour éveiller ton attention sur ces petits défauts, qui quoique insignifiants en eux-mêmes peuvent engendrer des résultats pernicieux pour ton avenir — je ne puis donc assez te recommander oględność wielką w wyborze przyjaciół. — Staraj się zawsze widzieć w głębi duszy, z kim masz do czynienia. — Dobry kolega niezawsze jest dobrym doradcą i odwrotnie. — Lecz jakżebym ja chciał kosztem reszty mego życia przelać w ciebie, com nieraz boleśnie uzbierał na polu długiego doświadczenia. — Jakżebym chciał być wszędzie, gdzie ci grozi niebezpieczeństwo, aby Cię przestrzec, aby Cię zasłonić. — Chciałbym Ci co donieść z domowego naszego życia, ale z wegetacyjnego życia, cóż wydobyć? — Wleką się godziny a dnie za niemi. — Jednak wierzyć sobie nie mogę, że ledwie ośm tygodni od twojego odjazdu. — W kraju smutno i jeżeli cię kiedy Bóg nam powróci, pierwszem mojem staraniem będzie wysłać Cię gdzie, gdziebyś mógł lepszem odetchnąć powietrzem. — Przypomnij sobie że Dr... ma winnice w W... musi więc tam mieć i jakiego pełnomocnika lub rządcę — napisz do niego, prosząc, aby w razie, gdybyś potrzebował, starał się ci być pomocnym. —

Rok się kończy, nowy się zaczyna, oby Bóg łaskawszy zesłał go lepszym. — Całą siłą duszy całem czuciem serca błagam Go, aby Cię błogosławił w każdym twoim kroku, aby Cię strzegł od wszelkiej przygody i wrócił Cię kiedyś, kochającym Cię nad wszystko Rodzicom. — Przyciskam Cię do serca, całuję Cię po tysiące razy Drogi, Drogi najukochańszy Chłopitku — adieu, adieu dwa jednostajne te listy posełam, może aby jeden dojdzie rąk twoich.

Dopisek Z. Fredrowej:

Ściskamy cię obie po tysiąc tysiące razy, Bóg niech będzie z tobą. Żyje, ja żyje wprawdzie mój Olesiu ale żyje tylko w jednej myśli w jednej modlitwie w myśli o tobie, w modlitwie za tobą, ah gdyby nie modlitwa, już kto wie, czybym i żyła.

Niech cię Bóg ma w swojej świętej opiece, od rana do wieczora nic nie robię, tylko się o to modlę. Niech cię Bóg błogosławi i strzeże. Adieu bywaj zdrów adieu, adieu, adieu.

* * *

Krótka kampanja węgierska dała ojcu zaledwie przedsmak owej wojaczki, do której rwał się z takim zapałem. Mianowany oficerem na polu bitwy pod Tarczalem, odznaczony krzyżem węgierskim za waleczność w bitwie pod Türą, męstwem swojem i zimną krwią w niebezpieczeństwie zdobył sobie uznanie, tak przełożonych, jak i podwładnych. Posiadam szkicyk jego własnoręczny przedstawiający chwilę, gdy wysłany jako parlamentarjusz do obozu nieprzyjacielskiego, mimo powiewającej w ręku jego chustki — przywitany zostaje salwą karabinową Austrjaków. Na szczęście, strzały były chybne a ojciec, zawróciwszy konia, spokojnie, stępa tak jak był przyjechał, powrócił do swoich.

Po skończonej, dla siebie tak chlubnej kampanji internowany wraz z garstką towarzyszy broni, Polaków i Węgrów, w Turcji, krótki w niej stosunkowo czas spędził. Zdaje się, że tym przymusowym pobytem w obcym, ale niewrogim kraju, zbytnio się nie martwił. Turków polubił szczerze i do końca życia wyrażał się o nich z wielkiem uznaniem i żywą sympatją. Mówił mi kiedyś, że zaproponowano raz oficerom polskim, a więc i jemu w ich liczbie, ze strony rządu, nie wiem jednak, czy oficjalnie

Austrjacy, strzelający do Jana Aleks. Fredry, jako parlamentarjusza.
(Rysunek J. A. Fredry).

czy tylko poufnie, wstąpienie do armji tureckiej, ale pod warunkiem przyjęcia islamu. Wszyscy oczywiście jednogłośnie odmówili.

Z Szumli, gdzie przebywał, ułatwił mu ucieczkę do Francji Sefer Pasza (Władysław Kościelski), który go na okręcie w roli służącego swego przewiózł i to z niemałem dla obu niebezpieczeństwem, bo ojciec, młody i bardzo wesoły, przy lada zabawnej okazji śmiechu powstrzymać nie umiał i głośno nim wybuchał, co na służącego niezbyt przystawało.

Dostawszy się szczęśliwie do Paryża, gdzie już poprzednio przybyli byli w oczekiwaniu syna dziadostwo, spędził na emigracji najpiękniejsze lata młodości. Jeszcze w r. 1856, znużony tem życiem bezczynnem i bezcelowem, pisał on do dawnego kolegi i przyjaciela Kornela Szczepańskiego, bawiącego w Belgji: „Mnie to życie miejskie zabija i nareszcie pewno zabije. Jeżeli wojna będzie, to mnie czynne życie, wolne powietrze, koń, na nogi postawią; jeżeli pokój, to mniejsza o to, czy parę lat dłużej czy krócej powegetuję na tym świecie. — ...Teraz nie wiem, gdzie się podziać. O Boże! Boże! daj nam wojny, bo inaczej przepadliśmy na wieki...“

Jakże często, w ostatnich latach dziesięciu — przypominając sobie te jego słowa, zadawałam sobie pytanie, coby też był powiedział — on, człowiek o poglądach tak rycerskich a zarazem średniowiecznych, gdyby się był doczekał ziszczenia pragnień, tej wojny światowej wraz z jej, po raz pierwszy zaprowadzoną strategją rowów strzeleckich i podziemnych okopów, oraz nowoczesnym sposobem walki zapomocą Zeppelinów, aeroplanów, granatów ręcznych, bomb i gazów trujących!...

Po ogłoszeniu amnestji, powrocie do kraju i zaledwie kilkoletniem pożyciu małżeńskiem, tęsknota za żołnierką

z podwójną odezwała się w nim siłą, trawiła go przez długie lata. — O wstąpieniu do służby austrjackiej w owych czasach mowy być nie mogło, zwłaszcza dla byłego oficera armji węgierskiej. Wydalać się z ojczyzny po raz drugi nie chciał; powolny zatem życzeniu rodziców, osiadł przy nich i przy gorąco umiłowanych dzieciach, poświęcając się im w zupełności. — Do późnej starości, a raczej do dnia śmierci, nie przestał jednak cierpieć nad zmarnowanem, jak się wyrażał, życiem. Ten żal jego, jak przebijał w częstych wynurzeniach, tak też przebija w każdem słowie rozpoczętych, a niedokończonych wspomnień.

Jakiemże bolesnem echem odbija się w sercu mojem to tak często z ust jego słyszane zdanie: „Całe życie moje jest jednem pasmem chybionego powołania; im dalej w latach postępuję, tem bardziej niknie, a raczej znikła już nadzieja wrócenia na tor właściwy; tem smutniej, tem gorzej na świecie — dlatego przestałem żyć własnem życiem i żyję tylko dla moich dzieci".

Dziećmi temi, t. j. moim bratem i mną, zaopiekowała się, po owdowieniu ojca, babka nasza.

Ustrój naszego życia ówczesnego był iście patrjachalny. Dwie godziny dnia, a więc obiadowa i wieczorna — gromadziły wszystkich na górze. Zresztą ojciec, tak młody jeszcze, bo zaledwie trzydzieści kilka lat liczący, miał wolność ruchów zupełną. Mieszkał na parterze, wyjeżdżał często do krewnych i znajomych w odwiedziny lub na polowania, bywał dużo w świecie. Ale stałym było u niego zwyczajem codzień, o rozmaitej porze dnia, jak mu to było dogodnem, wpadać do rodziców, by im, dla ich rozerwania, opowiedzieć, co gdzie widział, co gdzie słyszał — podzielić się z nimi wrażeniami, o lada drobnostkę zasięgnąć ich rady. Tak wzorowego syna, tak czułego ojca nie zdarzyło mi się drugiego spotkać.

Dom nasz składał się z dwojakiego personelu: domowników dziadostwa i domowników ojca. Do ostatnich zaliczała się służba przy nas dzieciach, oraz strzelec i woźnica. Obie strony żyły z sobą w zupełnej zgodzie, pod zarządem babki, a ojciec ze względu na nas przyczyniał się finansowo do utrzymania domu.

Kiedy już o tym domu i jego mieszkańcach mówić zaczynam, pierwsze słowa moje poświęcić muszę tej, która była jakby kapłanką naszego ogniska domowego. długoletnią, miłującą towarzyszką i powiernicą dziadka — nam, sierotom, zastępowała matkę, a domem całym tak zapobiegliwie a mądrze kierowała — o babce naszej.

Stanowiła typ w pełnem tego słowa znaczeniu niewiasty ewangelicznej i matrony polskiej. Patrząc dziś, z półwiekowej odległości na te dzieje, tak dla mnie jeszcze bliskie, stwierdzam, że cały tryb życia naszego był niesłychanie skromny. Tak dziadostwo, jak ojciec mój, zaliczali się do rzędu osób średnio zamożnych; życie więc prowadzili proste. W domu panował dobrobyt, ale bez cienia zbytku. Ogólne wymagania w tych czasach, jak dzień od nocy, różniły się pod każdym względem od dzisiejszych, cóż dopiero powiedzieć o naszych własnych?... Były one dziwnie umiarkowane.

Wzajemnie dawane sobie upominki przedstawiały wartość minimalną; lada drobnostka nas cieszyła. Na miano wyjątkowego wydarzenia zasłużyła naprzykład, bo tak żywo mi w pamięci utkwiła, niezwykła okoliczność obicia nową, perkalową, bardzo jaskrawą, zatem w oczach moich cudowną materją, starej kanapy na przyjazd wujostwa Szeptyckich; zachwyt mój nie miał granic. Zatruwała go jednak pewna wątpliwość... Nieśmiało więc zapytałam babki, czy ów przedmiot mego podziwu, po wyjeździe wujostwa, w pokoju naszym niezmieniony dalej pozostanie.

Już nie do wyjątkowych wydarzeń, ale wprost do prawdziwych, „ewenementów“ zaliczyćby wypadało niespodziankę, przez dziadka dla babki urządzoną podczas jednego z jej dłuższych pobytów w Przyłbicach. Oto dziadek, w tajemnicy sam wybrał śliczną błękitną tapetę i kazał nią pokój jej obić. Jak niecierpliwie i z sercem bijącem oczekiwaliśmy jej powrotu! Jak wybiegliśmy wszyscy na jej powitanie! Jak procesjonalnie towarzyszyliśmy jej wraz z dziadkiem do tego pokoju! Jaką radością napełniło nas a dziadka przedewszystkiem jej zdumienie na widok dokonanej, nieoczekiwanej zmiany! Widzę do dziś ich obojga rozpromienione twarze...

Babka nasza, ogromnie lubiąca ład i porządek we wszystkiem, prowadziła sama wzorowo całe kobiece gospodarstwo, wglądając w najmniejsze szczegóły i szczególiki. Każda godzina dnia miała swoje zgóry oznaczone zajęcie. Do późnej starości, bo niemal że do śmierci dziadka, dreptała co rana po całym domu i ogrodzie z pękiem kluczy na długim łańcuchu w ręku; dawała dyspozycje, liczyła wydatki. Wszelkie drobne rachunki płaciła codzień gotówką, większe kwartalnie, a rocznie jedynie konto w aptece Mikolasza, przy której to okazji pan Mikolasz przysyłał w darze wraz z pokwitowaniem i życzeniami noworocznemi wielkie pudło tak zwanego „królewskiego“ kadzidła. Wyczekiwaliśmy, brat mój i ja, nadejścia daru tego z upragnieniem — wzbudzał w nas zachwyt prawdziwy, i zewnętrzym wyglądem, i różnokolorową zawartością; raz dlatego, że kadzidło cudownie bursztynem pachniało i rzadko niem kadzono, a po drugie, bośmy święcie wierzyli, że na wszystkich królewskich dworach, jedynie ono było w użyciu.

Ktokolwiek znał babkę naszą, poświadczyć może, że najzupełniejszy brak egoizmu i bezgraniczna miłość dla

męża i dzieci były główną cechą jej charakteru. Dziadowi przykrości oszczędzić, dziadowi we wszystkiem dogodzić, wnukom przyjemnostkę sprawić — oto był cel jej ustawicznych zabiegów.

Za mojej pamięci, dziad mój interesami się już nie zajmował, kierownictwo ich powierzone było babce, w czem jej dopomagał, prócz ojca mego, jeszcze oddany rodzinie naszej przyjaciel, zacny p. Wojciech Madeyski. Przychodził od czasu do czasu, ubrany zawsze w czarną czamarkę, i długie razem odbywali konferencje. My, dzieci, lubiłyśmy go szczerze, ale zarazem śmiałyśmy się z niego pokryjomu, odkąd brat mój zrobił odkrycie, że kłaniając się, zginał kolana, prawą nogę wtył za lewą posuwał i robił rodzaj dyga „po damsku".

Babka oszczędną była bardzo, lecz tak samo jak dziadek, skąpą tylko dla własnej osoby; dla otoczenia zaś, dla prawdziwej nędzy, zawsze otwartą dłoń miała. Do kuchni naszej stale, jak rok długi, kilka osób po obiad przychodziło. Mając zamiłowanie do pięknych robót kościelnych i haftów, dzień piątkowy dla umartwienia poświęcała wyłącznie pracy użytecznej, ale mniej artystycznej, jak szycie odzieży i bielizny dla ubogich, a wieczory skubaniu szarpi do szpitali. Wstydzącym się żebrać wyszukiwała odpowiednie zajęcie i zarobek; w niedostatku, chorobie pomagała, ratowała gdzie i jak tylko mogła. Nic nigdy się w naszym domu nie marnowało, „bo nic się marnować nie powinno; każda resztka, czyto jadła, czy odzieży, stać się może dla kogoś istnym darem z nieba" to było jednym z tych jej życiowych przepisów, które we mnie wszczepiła i które po dziś dzień przestrzegać się staram.

Tak jak sama babka wydawała kucharzowi przybory ze śpiżarni, tak też i po skończonym obiedzie sama rozdzielała, zwykle z moją pomocą, pozostałości po nim

i własnoręcznie sporządzała strawę dla ulubionej suczki brata, Milusi, dla psa legawego ojca, aby nawet zwierzęta krzywdy u niej nie zaznały.

Jak to już w „Dworku na Chorążczyźnie“ powiedziałam, narówni z bratem miałam wielki respekt przed babką. Usposobienia była bardzo łagodnego, weselsza znacznie od dziadka, nie unosiła się nigdy, ale też nigdy z nami, jak on, nie żartowała, ani nas nie pieściła, jak ojciec. Mieliśmy ją oboje za surową, bo jej biednej, przypadał w udziale obowiązek łajania nas i karania, gdyśmy na to zasłużyli, a zasługiwaliśmy aż nadto obficie! — Na zawsze pamiętne mi pozostały i pozostaną jej długie, poważne napomnienia, dawane mi na dzieńdobry po jakiemś cięższem przewinieniu; stałam skruszona przy jej łóżku, słuchałam w skupieniu słów, które mi prosto do serca wpadały, uroczyście obiecywałam poprawę — aż do przyszłego razu.

W okresie, który tu opisuję, babka była już staruszką, żwawą wprawdzie jeszcze, ale zawsze staruszką, siedmdziesiąt parę lat liczącą. Patrząc na nią, nigdy mi przez myśl nie przeszło, że mogła być kiedyś i młodą, i niezwykle piękną. Czyż istnieje ktokolwiek na świecie, ktoby nie miał babki, względnie prababki niezwykle pięknej?...

Wprawdzie wieść o tym fakcie obijała się kilkakrotnie o moje uszy, jednakowoż, jak wszystkie dzieci w stosunku do rodziców swoich, faktu tego uprzytomnieć sobie nie byłam w stanie. Może niezupełnie od rzeczy będzie umieścić tu ładną dykteryjkę, która niedawno z ust ostatniej żyjącej przyjaciółki matki mojej, sędziwej pani Kazimiery z Badenich Niezabitowskiej zasłyszana, dalekich sięga czasów.

Wkrótce po ślubie swoim ze Stanisławem Skarbkiem, a zatem przypuszczalnie w roku[1] 1814 lub 1815 —

[1] Żychliński T.: Złota księga szlachty t. V, str. 456 podaje jako datę zaślubin Stanisława hr. Skarbka rok 1816. Jest to data bezwąt-

pojechała babka moja z mężem z pierwszą wizytą do pp. Piotrów Pietruskich, dziadostwa pani Niezabitowskiej, do Lubieniec w Stryjskiem.

Jak to było zwyczajem ówczesnym, zatrzymali się pp. Skarbkowie w pobliskiej karczmie, aby się przed wjazdem do dworu należycie i wykwintnie przebrać. Kiedy czynności tej dokonywali, w pierwszej izbie na ławce zdrzemnął się stary żyd-arendarz, bo już w owych latach żydzi obecnością swoją Galicję uszczęśliwiali. Gdy po niejakim czasie, po ukończonej tualecie, babka moja wystrojona do izby tej weszła i ujrzała śpiącego z otwartemi ustami żyda, chwyciły się jej, jak to mówią, figle. Zbliżyła się więc do niego pocichu i lekko go za długą, białą brodę pociągnęła... Żyd, nagle w ten sposób obudzony, na widok owej cudnej postaci, od której biły młodość, wesołość i uroda, wziął ją za jakieś niebiańskie zjawisko — w pierwszej chwili osłupiał a wreszcie, nawpół w uniesieniu, nawpół w przestrachu, zerwał się do ucieczki, wołając na całe gardło: „Aj waj! Aj waj mir!“... Szkoda prawdziwa, że tak późno historyjkę tę słyszałam; jakże byłabym lubiła ją babce przypomnieć!

Stosunek mój do dziadka różnił się zupełnie od stosunku do babki. Oparty był przedewszystkiem na wielkiej poufałości i przekonaniu, że co mnie bawiło, musiało bawić i jego, że wszelkim moim życzeniom, a raczej zachciankom, gotów był zawsze zadość uczynić. W każdej pauzie pomiędzy lekcjami, biegłam do niego, — wstęp do pokoi dziadostwa mieliśmy zawsze wolny, nie pytałam

---

pienia mylna; z pamiętnika Ludwika Jabłonowskiego wynika, że w czasie bytności we Lwowie królowej neapolitańskiej Karoliny, a więc w styczniu 1814, była Zofja hr. Jabłonowska już narzeczoną swego pierwszego męża, a w drugiej połowie tegoż roku, już jako małżonkowie przebywają oboje we Wiedniu podczas odbywającego się tam kongresu.

nigdy, czy obecność moja mu w czem nie przeszkadza, tak byłam pewną, że zawsze miłą mu będzie.

W pokoju jego sypialnym bawiliśmy się z bratem w różne gry własnego pomysłu, albo skakaniem na owych długich krokwiach, któremi dziad zamierzał budzić panią Stupnicką, albo staczaniem bitew dwoma jego małemi, skórzanemi poduszeczkami, częściej rozmową z nim i żartami. — Dziadek, nieraz chory, zamyślony, może jakieś wiersze tworzący w myśli, odpowiadał czasem półgębkiem, ale zawsze odpowiadał i nie pamiętam, żebym kiedy była z ust jego usłyszała zdanie: „Daj mi pokój!“ Nawet czterowiersz „Do Mimi“, w części pierwszej zacytowany, napisał na moją własną prośbę. Coprawda, sprawił mi on wielki zawód, bo spodziewałam się nie czterowiersza, ale długiego poematu!

W tym to czasie popełniłam w pokoju dziadka kradzież — jedyną w życiu. Dostawszy półkę na książki, zapragnęłam oczywiście, jak najszybciej zgromadzić „bibljotekę“. Wykorzystałam nieuwagę, a może i nieobecność dziadka, by z jego półek przenieść jedną książkę na moją. Przestępstwo to nie zostało nigdy wykryte, „restytucji“ nie dokonałam, bo książkę po dziś dzień posiadam, a skruchy jakoś nie czuję... Muszę dla uniewinnienia się zaznaczyć, że nie pchnęła mnie do tego brzydkiego czynu żadna niezdrowa ciekawość — (książka była po łacinie A. M. Fredry) — skusił mnie jedynie jej maleńki format i ponętna pergaminowa okładka.

Jaką bezgraniczną ufność pokładałam w dziadku, dowiedzie najlepiej następujące zdarzenie. Mogłam mieć wtedy lat 10 do 11. Razu pewnego ujrzałam podczas codziennego spaceru, w oknie wystawowem Bogdanowicza na placu Marjackim, jakiś przedmiot — gracik poprostu — niby rodzaj kapliczki, który mnie w prawdziwy zachwyt

wprowadził. Wstąpiłam spytać o cenę. Kosztował 1 fl., może mniej nawet, w każdym razie, stan moich finansów na tak znaczny wydatek mi nie pozwalał — ale niezwłocznie pomyślałam w duszy: od czegoż dziadzio?

Wróciwszy do domu, czem prędzej do niego pobiegłam i dalejże mu entuzjastycznie wychwalać to cacko prześliczne, którego zresztą ani kształtu ani użytku bliżej opisać nie byłam w stanie! Musiałam wychwalać z zapałem wielkim, bo wkońcu dopięłam celu, a dziad mój, zaciekawiony, uległ mojemu natręctwu i postanowił posłać po nie służącego do sklepu.

Prędko! Prędko!... Rzecz zwłoki nie cierpiała!... Poleciłam posłańcowi jak największy pośpiech — lada chwila przecie mógł się znaleźć amator, gotów nas uprzedzić i cenny ten przedmiot z przed nosa nam sprzątnąć!... Co za radość uczułam, gdy służący nareszcie w drogę wyruszył! Wprawdzie miał on tylko cudo owo przynieść „na okaz“: nie wątpiłam jednak, że po obejrzeniu go dziadek się doń narówni ze mną zapali.

Powrotu posłańca oczekiwałam z bijącem sercem, w prawdziwej gorączce, od okna do okna wędrując, licząc minuty... Wybiła wkońcu upragniona chwila — przyniósł służący paczkę starannie owiniętą, którą w obecności dziadka pośpiesznie rozpakowałam... I cóż się oczom naszym ukazało? Oto drewniana, koszlawa, bardzo licho wykonana kapliczka, w której tkwił jaskrawy, pospolity obrazek Matki Boskiej... Zbliska nie było na co patrzeć ani co podziwiać... Grat to był, i w dodatku grat brzydki, przyznać musiałam ze wstydem; dobry mój dziadek gotów był wprawdzie mnie nim uszczęśliwić, ale mnie odpadła chęć posiadania go; odniesiono go zatem zpowrotem do Bogdanowicza i długo, bardzo długo jeszcze, widniał w oknie jego, czekając napróżno na nabywcę.

Nieraz w życiu mojem późniejszem powtórzył się podobny wypadek; co z odległości wzbudzało mój podziw i pożądliwość, zbliska gorzki zawód tylko przynosiło...

Wróćmy do dworku naszego.

Na czele dalszych domowników stała droga, poczciwa panna Adela Deforel, pospolicie przez dom cały „panną Adelusią“, a przez nas „Mazdunią“ zwana. — Adela, Szwajcarka rodem, którą pan Wasylewski, w swej nieświadomości, pogardliwie mieni „niewiastą do robienia kawy“ — co mnie mocno zabolało, przybyła do Polski w 19 roku życia, jako nauczycielka do ciotki Szeptyckiej, wówczas siedmio- czy ośmioletniej dziewczynki. Wnet stała się najwierniejszą, nieodstępną towarzyszką dziadostwa, tak początkowo w Beńkowej Wiszni, jak później na emigracji w Paryżu i wreszcie we Lwowie, dozgonną przyjaciółką rodziny całej, dzielącą z nią złe i dobre koleje, powiernicą starych i młodych. Przez trzy pokolenia była owa anielska istota czczona i kochana narówni z najbliższymi, a po śmierci opłakiwana przez nas wszystkich, narówni z najdroższymi.

Adela, spędziwszy blisko pół wieku w kraju, nauczyła się oczywiście po polsku, rozumiała nasz język doskonale, ale nie mówiła nim poprawnie. W nieposzanowaniu i pogardzie miała wszelką deklinację, niektóre wyrazy, metodą całkiem osobistą, przekręcała, jak np. kufer na kufro a futro na futer. Czytała zato płynnie i ładnie, tak po polsku, jak po francusku. Dziad ogromnie słuchać jej lubiał, kochał ją bardzo, a różne jej przygody (doznawała ich sporo i rozmaitego rodzaju, zwłaszcza w nieudanych próbach zaprowadzenia moralności wśród żeńskiej służby) posiadały szczególny dar rozweselania go.

Pewnego razu napotkała w gazecie wyraz „były jenerał“ — przeczytała po swojemu „bele jeneral“. Dziadek

nie zrozumiał, i prosił o powtórne przeczytanie zdania, co rzeczy nie wyjaśniło. Więc zapytał: *Comment dites-vous? Bele? Qu'est-ce que cela veut dire, bele?* — Adela zawsze taka słodka, drażliwa była na punkcie swego czytania, więc z niecierpliwością i oburzeniem zawołała: *Je n'en sais rien, Monsieur, je lis comme c'est écrit — bele, c'est bele — je n'y puis rien changer...* Dziad, wziąwszy sam gazetę do ręki i przeczytawszy owo tajemnicze słowo *bele*, serdecznie się uśmiał, i nad jej wymową, i więcej jeszcze nad jej irytacją.

Reszta domowników naszych zasługiwałaby niewątpliwie na opis szczegółowy. Niemal każdy z nich był typem, godnym uwiecznienia w powieści lub na scenie, ale boję się czytelników znudzić. Wspomnę tylko pobieżnie o kilku.

Szymona znacie już z wzmianek poprzednich; rozpoczął karjerę jako chłopak kredensowy, przewróceniem całego kredensu pełnego szkła i porcelany i to podczas wizyty u dziadka p. Alfreda Potockiego, późniejszego namiestnika Galicji. Przez długie lata, za każdą wizytą, p. Alfred zawsze wypadek ten mu przypominał. Po śmierci dziada pozostał u ojca mego, a brat mój mianował go wkońcu dyrektorem cegielni w Rudkach. Umarł parę lat temu. Teściem jego był kucharz, Gustowicz (jakże obiecujące nazwisko!), niski, tłuściutki, okrąglutki staruszek, artysta w swoim rodzaju. Sławne były niektóre jego dania, m. i. potrawka z sosem buljonowym, przez dziadka „szelmą“ przezwana, bo się jej odjeść nie było można. Był u nas jakie lat trzydzieści lub więcej...

Jakże zamilczeć o starej, jednookiej — bo drugie oko bielmo przesłaniało — praczce Hance? Żyła i umarła w stanie panieńskim, ale mimo to licznego dochowała się potomstwa, a za każdym nowym przybytkiem przysięgała

na wszystkie świętości zgorszonej i moralizującej p. Adelusi, że to już z pewnością będzie jej ostatni!... Zresztą, dla usprawiedliwienia, dodawała: „Czyż to moja wina, że ja taka miła?“ Uwaga ta potęgowała tylko oburzenie Adeli.

Jakże nie wspomnieć o poczciwym Michale, strzelcu ojca, z naszą piastunką ożenionym, który był perłą w swoim rodzaju, ale kilka razy do roku odczuwał nieprzepartą potrzebę upicia a raczej spicia się, jak nieboszczyk „król Bela“? Jak nie wspomnieć o Józefie stangrecie, bardzo przez nas dzieci cenionym, bo hodował jeża w karecie?

Nakoniec jeszcze spłacić muszę dług wdzięczności, wymieniając powtórnie starego, o krzywych nogach Grzegorza, stróża i ogrodnika w jednej osobie, o którym w pierwszej części zapisków tych mówiłam. Lubiałam go bardzo, bo raz po raz, na prośby moje, dawał mi w tajemnicy, za krzakami, pociągnąć po koleżeńsku ze swojej fajki. — Nie wiem, jakiego tam do niej używał tytoniu — wiem tylko, że smakował gorzko, lecz mnie nie tyle o smak, jak o dym chodziło. — Cześć więc pamięci zacnego Grzegorza!

Krótki ten opis starczy chyba, by się przekonać jaką „całość“, prawie że rodzinę, tworzył dom nasz ówczesny; szczęście do wiernych, przywiązanych sług posiadali dziadostwo w pełni, posiadał je mój ojciec, a i ja je po nich odziedziczyłam. Jest to zresztą jedyne szczęście moje do czegokolwiek w życiu.

Wprawdzie twierdzono u nas, niebardzo wiem, na jakiej, z prawdą wcale nie licującej podstawie, że i do gier wszelkiego rodzaju mam „rękę szczęśliwą“... Bodaj tak!... Dziadek używał zatem tej mojej ręki, by mi nią kazać co miesiąc trzy numery z woreczka wyciągać, które potem na loterji liczbowej stawiał.

„Trzeba zawsze“ — mawiał — „zostawić szczęściu otwarte okienko“... Mimo tego otwartego okienka i mojej szczęśliwej ręki, nie zawitało ono nigdy do nas, chociażby pod postacią najskromniejszej wygranej. Owa niewinna gra w loterję była jedyną tego rodzaju rozrywką dziadka. P. Wasylewski pisze wprawdzie o „stoliku, wistowym naturalnie, na którym codzień popołudniu rachuje się lewe“, ale ja stolika tego na oczy nie widziałam.

Według relacji ojca mego w jego rozpoczętych wspomnieniach, w latach 1832 a może i późniejszych, bywała u dziadka codzienna partja wista. Za mojej jednak pamięci w tym przez p. Wasylewskiego opisanym pokoju dziadka, nikt nigdy do partji nie zasiadł; biedny mój dziadek miał już wtedy tak przez artretyzm i podagrę pokręcone palce u lewej ręki, że kart nią utrzymać nie mógłby w żaden sposób. Pasjanse kładł co wieczór, w pokoju i przy łóżku babki, ale z jej pomocą i to prawą ręką tylko mozolnie wyciągając karty z leżącej przed nim talji. I to go męczyło, bo nieraz, zanim dziesiąta wybiła, kazał się przez Szymona do siebie odprowadzać.

Skreśliłam w „Dworku na Chorążczyźnie“ kilka obrazków z życia naszego, tyczą się one zwłaszcza godzin popołudniowych w porze letniej. Dorzucę jeszcze obszerniejszą wzmiankę o zimowym okresie.

Gdy chłód jesienny i coraz to szybciej zapadający zmrok zapowiadały już bliskość zimy, dom nasz w zimowe się też przyoblekał szaty. Pokoje dziadostwa i salon uścielano dywanami, pod które układano warstwę słomy; okna o niewielkich szybach kitowano starannie i do połowy zapełniano ślicznym, zielonym mchem, z lasów beńkowo-wiszeńskich przywiezionym; w piecach lekko przepalano... Ach! Jakże ja lubiałam te przygotowania zimowe! Ten zapach leśny mchu, z przymieszką kamfory dywanów,

rozchodzący się wówczas po wszystkich zakątkach domu! Jakież wrażenia ciepła, zacisza i jakiegoś bezpieczeństwa przenikało mi ciało i duszę zarazem!...

Wstawaliśmy około 7¼ przy świetle lampy; za pierwszych lat moich dziecinnych używaliśmy tylko świecy i to łojówki. Mrok i zimno panowały w dużym naszym, na dwie części, przez przepierzenie podzielonym pokoju, ale rozgrzewał nas trzask ognia w piecu i widok czerwonego jego odblasku, padającego na posadzkę i meble. Przed śniadaniem, szłam na dzieńdobry do babki, leżącej jeszcze w łóżku — wstawała około 9-tej. — Po dwóch godzinach lekcyj następowała pauza, podczas której udawaliśmy się wraz z bratem do dziadka, który wstawał o wiele później. Przy łóżku jego czekał na mego brata przysmak wielki, przez niego codzień dla wnuka odkładany, mianowicie garnuszek z resztką kawy i olbrzymim kożuszkiem, którego sam widok bezgranicznem obrzydzeniem mnie napełniał.

Do godziny obiadowej, t. j. do drugiej, dziadek pokoju swego nie opuszczał, pracował w nim sam, pisał, rysował i czytał. Godziny poobiednie, z małemi przerwami, spędzali dziadostwo razem w pokoju babki. U dziadka siadywaliśmy tylko wyjątkowo, w razie jego choroby. Przez całą zimę w niedziele i święta przychodził do dworku ojciec karmelita odprawiać mszę świętą w salonie — służył do niej mój brat.

Jakie były ulubione zajęcia dziadka poza piśmiennictwem? Rysowanie planów, budynków, najczęściej projektowanego nowego domu w Przyłbicach, maszyn przeróżnych; przemyśliwał długie lata nad wykryciem *perpetuum mobile*. — Jaki był temat ulubiony rozmowy? Bezwątpienia — polityka; zwłaszcza z zięciem swoim, wujem Janem Szeptyckim, gdy tenże na sejm do Lwowa zjeżdżał, lub z rzadkimi gośćmi, o których w pierwszej części pi-

sałam, prowadził godzinne dysputy o położeniu w kraju i w świecie, co mnie straszliwie nudziło, bo mało co z tego rozumiałam, a odrywało jego uwagę ode mnie.

Najżywiej utkwiły mi one w pamięci z r. 1868, jeżeli się nie mylę, bo po raz pierwszy w życiu, usłyszałam śród nich wciąż się powtarzający wyraz „najjaśniejszy pan“. Adela wytłumaczyła mi jego znaczenie. Owoż „najjaśniejszy pan“, cesarz Franciszek Józef, miał zjechać wówczas po raz pierwszy do Lwowa. Na przyjęcie jego postawiono bramę tryumfalną na placu Marjackim, którą chodziliśmy z wielkiem zaciekawieniem oglądać i podziwiać (marzeniem mojem, nieziszczonem jednak nigdy, było, przejść przez nią), ale, jak wiadomo, oczekiwania zostały zawiedzione, cesarz nie przyjechał, a bramę rozebrano.

Co mnie dzisiaj dziwi, to że nigdy dziad mój nie wspominał, przynajmniej przed nami, czasów swojej młodości, przygód licznych kampanij, okresu niewoli w Wilnie, powrotu do kraju i t. p., a jednak brata mego, jeżeli nie mnie, rzeczy te byłyby z pewnością interesowały.

Przekonana jestem, że gdyby był przez wnuków pytany, byłby im chętnie odpowiadał i opowiadał, a może i niejedno zdarzenie z jego życia, w wspomnieniach „Trzy po trzy“ zapomniane, byłoby się w ten sposób dla potomności zachowało. Niestety dzieci, nawet starsze, rzadko kiedy ciekawe są dziejów przeszłych, chociażby rodziców dotyczących, a co z nich mimochodem usłyszą, puszczają niebawem w niepamięć, trwoniąc bezwiednie i marnując nieocenione skarby, za któremi w późniejszym wieku daremna je trawi tęsknota.

I ja do ciężkiej w tym względzie poczuwam się winy... O ileżby zapiski te ciekawsze, o ileżby cenniejsze być mogły, gdybym zamiast pogrążać się i zasklepiać w mym własnym światku dziecięcym, uważniej była słuchała!...

Babka moja, w przeciwieństwie do dziadka, chętnie wspominała czasy własnej młodości, spędzonej częściowo w domu ciotki swojej, Marjanny z Świdzińskich Lanckorońskiej, kasztelanowej połanieckiej, cytowała dawne anegdotki, tyczące się różnych osobistości z epoki Księstwa Warszawskiego, deklamowała nawet okolicznościowe wierszyki satyryczne, kursujące wówczas po stolicy — wszystko to nieraz z ust jej słyszałam i wszystko zapomniałam... Napróżno dzisiaj, poniewczasie, grzebię w pamięci; popioły w niej znajduję — niewiele więcej...

P. Wasylewski twierdzi, że dziad mój do Napoleona nie miał nabożeństwa, nawet go poprostu nie lubił. Niezmiernie żałuję, że nic bliższego w tym względzie powiedzieć nie umiem; raz jeden, przed bratem moim wyraził on jednak żal, że znajdując się w przedpokoju cesarza — jeżeli się nie mylę w Dreźnie, i ujrzawszy mameluka jego Rustana, wynoszącego na tacy włosy cesarza, który się dopiero co był dał ostrzyc, nie wziął ich sobie szczypty na pamiątkę, Dowodziłoby to czego innego, jak braku nabożeństwa. Mam wrażenie, że uczucia jego dla Napoleona ulec musiały zczasem oziębieniu, skutkiem polityki Wielkiego Człowieka względem Polaków. Ewolucja taka nie byłaby wyjątkowa; wierzyć mi się jednak nie chce, aby w głębi serca i dla niego Napoleon nie był pozostał Napoleonem. — Kult, jaki oboje z bratem moim, niemal od dzieciństwa żywiliśmy dla jego osoby, jedynie przez atawizm tłumaczyć się daje. Brat mój, do szkół jeszcze nie uczęszczający, zawsze na dzień 5 maja, jako w rocznicę zgonu swego bohatera, ostentacyjnie zakładał czarną krawatkę, bodaj czy nie umyślnie w tym celu kupioną; nie wiem, czy prócz mnie ktokolwiek na ten znak żałoby zwracał uwagę. Ja zaś, zrobiwszy kredką dużą i bardzo wierną kopję znanego sztychu „Napoleona pod Eylau“

zawiesiłam ją sobie na ścianie przy biurku. Co do mnie, kult ten po dziś dzień zachowałam:

„Choć skrzywdził on nas srodze,
A rozum go oskarża —
Nie było i nie będzie
Nikogo nad Cesarza!...“

Tyle o tem. — W tym samym mniej więcej czasie bawiłam się razu pewnego w pokoju dziadostwa, a babka przerzucała jakieś ilustrowane pismo, gdy nagle podała je dziadkowi, mówiąc: „Patrz — oto portret Nakwaskiej, twojej dawnej flamy“. Dziadek nałożył okulary, długą chwilę z wielkiem zainteresowaniem przypatrywał się obrazkowi, wreszcie odłożył go na bok i zauważył: „Niepodobna — ani trochę niepodobna“.

Obrazek przedstawiał — bo i ja go, bardzo zaciekawiona, czem prędzej obejrzałam — staruszkę o twarzy ogromnie pomarszczonej, z kokami przy uszach i w czepku na głowie. „Flama“ dziadka!... Zaiste, trudno to było sobie urzeczywistnić...

Kiedy ta pobieżna wzmianka o pierwszej a nieznanej dotąd miłości Aleksandra Fredry wpadła pod oczy profesora Kucharskiego, spowodowała odrazu, jak mi sam oświadczył, zmianę w poglądach jego na różne szczegóły z życia dziadka. I tak — przyszedł on do przekonania, że wielokrotnie wspominana w listach Henryka Fredry i w listach dziadka do Ignacego Konarskiego, pani S., nie była to, jak pierwotnie przypuszczał, a co się z datami nie zgadzało — babka moja 1-o voto Skarbkowa, lecz właśnie owa piękna Karolina z Potockich 1-o voto Starzyńska, 2-o voto Nakwaska.

— Wracam jeszcze do ostatniego ustępu z książki p. Wasylewskiego: „Po pasjansach lektura: na pierwszym miejscu wierszyk, bardzo a bardzo swawolny, jakie tylko

bardzo młodym albo bardzo starym ludziom pisać wolno — potem scena z nowej komedji, rankiem dopiero co napisana i nadąsana mina, jeśli babcia nieodrazu pojmie i nie po każdej scenie śmiechem wybuchnie".

Muszę, jak dziadek niegdyś o mnie, powiedzieć o p. Wasylewskim: „Co za fantazja!"... Ale szkoda prawdziwa, że nie znał tych, których tak szczegółowo a tak niedokładnie opisuje! Wątpię bardzo, żeby babka nietylko w swawolnych wierszach gustowała, ale nawet, by na ich czytanie pozwoliła; a co do dziadka, to chyba wiadomym jest faktem, że pragnąc przed ślubem swoim wycofać z obiegu i zniszczyć pewien swawolny erotyk, przetłumaczony podobno w pierwszej młodości z francuskiego, wykupywał skrzętnie kursujące a bardzo nieliczne rękopisy tegoż, płacąc po dukacie za sztukę.

W „Dworku na Chorążczyźnie" napisałam nieco nieoględnie, że dziad mój utworów swoich nikomu, prócz babki, nie czytywał. I co do tego muszę tu zrobić zastrzeżenie; tyczyło się to mniejszych poezyj i wierszy — tworzyły one wyjątki w regule, bo, wiem to na pewno, całej drugiej serji komedyj dziadka, po śmierci jego dopiero granych, babka wcale nie znała. Pamiętam jedynie, jak około roku 1872 (może w czasie, kiedy ów biedny student pisma dziada na czysto przepisywał), czytała rękopis „Jeremjasza Sępa" i nad nim rzewnie płakała. Utwór ten jednak nie miał powodzenia wśród innych czytelników, może dlatego, że jest białym wierszem pisany.

Krótko przed ostatnią swoją chorobą przyszedł raz dziadek do pokoju babki i podał jej zapisaną kartkę, z prawdziwą rozpaczą wołając, że własnego wiersza, dnia poprzedniego napisanego, sam odczytać nie może... Biedne jego pokręcone palce piórem kierować już nie były w stanie, a pamięć nie dopisywała... Babka napróżno nad skreślo-

nemi hieroglifami się mozoliła... Smutna to rzecz zawsze, starość, ale stokroć smutniejszy jeszcze zmierzch genjuszu.

Kiedy tak spisuję urywcze te, błahe może wypadki, o jednem jeszcze wspomnieć muszę. Wuj Jabłonowski oskarżył dziadka o pozowanie przed ludźmi. Zarzut ten raz już zbiłam, ale jest on tak niedorzeczny, że doprawdy, raczej uśmiech politowania, niżli oburzenie wywołać powinien. Dziad był odludkiem — a jako taki unikał zawsze wszelkiemi sposobami zetknięcia z osobami obojętnemi; gdy tylko wizytę jaką u nas zaanonsowano, odrazu śpiesznie powstawał i zrzędząc, wynosił się do swego pokoju, a babka sama witać gości musiała.

Kiedy w radzie miejskiej zapadła uchwała nadania ulicy naszej nazwy „Fredry", domowy nasz lekarz a zarazem długoletni przyjaciel rodziny, dr. Maciejowski, przyszedł nam to oznajmić. Wiedząc, jak bardzo dziadkowi wszelkie hołdy i zaszczyty były wstrętne, prosiła babka usilnie, aby o tem przed nim nie wspominał, dopóki go sama, stopniowo, jako do przykrej wiadomości, nie przygotuje. Tak się też stało, a wynikiem sprawy, według przewidywania babki, była wielka irytacja i bardzo zły humor u dziadka.

Później, prócz samego faktu, gniewała go również wadliwa, jak twierdził, deklinacja nazwiska; zdaniem jego należało je odmieniać według utartej pisowni dawnych kronik „Fredra" a nie „Fredry". Na własne uszy to słyszałam; coprawda, niektórych reguł gramatycznych do końca życia nie uznawał i nie przestrzegał.

Ostatnie chwile jego wiernie opisałam w „Dworku na Chorążczyźnie". Nie wiem, dlaczego wuj Jabłonowski utrzymuje, że nikt z nas obecnym śmierci jego nie był... Takoż dziwne jest zdanie p. Wasylewskiego, iż „pewnego wieczoru (?) zaśnie (on) tak cicho, że nawet Baucis wierna tego nie zauważy".

Jak różne bywają o jednej i tej samej rzeczy zdania i jak nieobliczalny jest gust publiczności, niech następujące fakty poświadczą. Kiedy po śmierci dziadka ojciec mój zajął się uporządkowaniem pozostałej po nim spuścizny literackiej i wystawieniem nieznanych komedyj, zaczął od tego, że wszystkie pokolei przeczytał najpierw

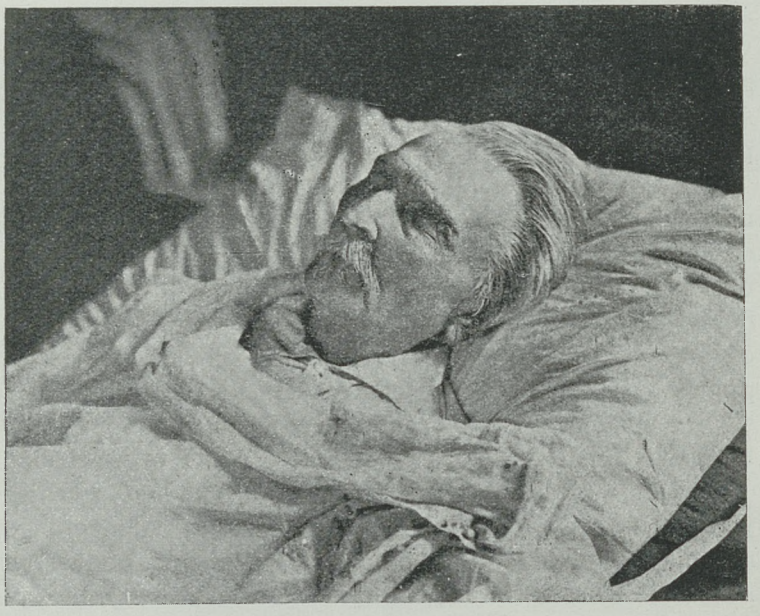

Aleksander Fredro na łożu śmierci.

zebranej rodzinie, t. j. babce i wujostwu Szeptyckim — później dopiero oddał je pod sąd areopagu, złożonego z kilku wybitnych literatów i osób kompetentnych. Niestety, nazwisk wszystkich nie pamiętam; wiem, że do nich należał ówczesny dyrektor lwowskiego Teatru Skarbka Miłaszewski, profesor Antoni Małecki, nie tak dawno

zmarły przyjaciel ojca, Stanisław Koźmian i bodaj czy nie profesor Tarnowski. Z dzieł, czytanych w kółku rodzinnem, ogromnie się wszystkim, szczególnie babce, podobał dramat „Wychowanka". Co się zaś tyczy komedji „Wielki człowiek do małych interesów", przy którem to czytaniu i nam, starszym wnukom, być pozwolono, orzeczono jednogłośnie, że to utwór słaby i że go wcale wystawiać nie należy. Areopag znawców zadecydował inaczej i właśnie tę sztukę wybrał jako pierwszą z nowego cyklu. Podobała się bardzo, a powodzenie jej trwało doniedawna, podczas gdy „Wychowanka", wystawiona później, upadła.

Oto zbliżam się ku końcowi osobistych moich wspomnień o dziadku. W pamięci mojej postać jego tak jednak ściśle skojarzyła się z postacią babki (jak to było i za ich życia), że na wspólnym o nich obrazku zakończę, a o rzewniejszy chyba trudno.

Przyszedłszy pewnego wieczoru do pokoju babki, ujrzałam ze zdziwieniem dwa próżne krzesła stojące przed piecem, w którym śród stosów popiołu tliły się jeszcze szczątki papierów. Babka, jak zwykle o tej godzinie leżąca już w łóżku, wydawała się smutna — dziadek milczący i głęboko zamyślony siedział obok niej w fotelu... Musiało tu zajść coś niezwykłego — pomyślałam sobie — ale co takiego? Brat mój, który zawsze pierwszy o wszystkiem wiedział, szepnął mi do ucha, że dziadostwo, przez cały wieczór palili swoją przed- i poślubną korespondencję...

...Słuszność mieli staruszkowie drodzy, zdobywając się na ten czyn bolesny; na takich listach, pisanych wprost z serca do serca, żadne oko obce, choćby rodzonych, kochających dzieci, spocząć nie powinno... A przed spaleniem, po raz ostatni odczytując je, płakali nad niemi oboje...

Z tych więc dalekich czasów ich długoletniej miłości nie pozostał list żaden. Jedyną pamiątką, sięgającą okresu,

w którym toczyła się długa sprawa rozwodowa babki i w którym możliwość związku jej z dziadem wątpliwą się jeszcze zdawać mogła, pozostał miedziany pierścionek dziś własność zięcia mego, Leona Szeptyckiego, z wyrytym napisem: „Nie tu — to tam“. Babka moja, przegrawszy do dziadka „cwancygiera“ — niewiadomo, czy w grze jakiej czy w zakładzie — kazała z niego pierścionek ten zrobić i w ten sposób dług swój spłaciła. A z woli Bożej spełniły się ich marzenia i życie ich splotło się na zawsze „i tu — i tam“.

. . . . . .

Po dziadku moim posiadam prócz dwóch liścików, jako do dziecka jeszcze pisanych, a o których w części pierwszej wspomniałam, i trzecią, najcenniejszą dla mnie pamiątkę: pismo, które mnie nigdy nie opuszcza. Jest to własnoręczne błogosławieństwo z r. 1866, jedno z siedmiu, jakie wszystkim swoim, wówczas żyjącym, wnukom pozostawił, następującej treści:

BŁOGOSŁAWIEŃSTWO MOJE.

Nieograniczoną miłością składam dłonie na twojej główce, kochana Mimi, droga moja wnuczko, i błagam Wszechmocnego, aby cię obdarzył niezachwianą wiarą, czystem zawsze sumieniem, chęcią do pracy — nareszcie, aby ci użyczył wszelkiej pomyślności, jaka tylko w tem życiu udziałem być może. Przekazuję ci miłość, jaką kochałem twoich Rodziców. Błogosławię cię, kochane moje dziecię, w Imię Ojca i Syna i Ducha Świętego Amen.

ALEKSANDER FREDRO.

dnia 5-go listopada 1866.
we Lwowie

DLA MARJI FREDRÓWNEJ.

CZĘŚĆ III.

Nasze gniazdo rodzinne — Beńkowa Wisznia.

Tym, nielicznym zapewne, którzy luźne notatki te moje odczytują, pozwolę sobie na wstępie części trzeciej i ostatniej, przypomnieć dwa ustępy z książki dziada „TRZY PO TRZY.“

W pierwszym, pisze on:

> Świat mego dziecinnego i młodocianego wieku, cały w Beńkowej Wiszni... Już miałem rok 13-sty kiedy straciłem matkę... Widzę ją zawsze zajętą ogrodem. Oprócz lip, szczątków ulic sklepionych w czworobok, wszystkie starsze drzewa, jej ręką sadzone — dlatego ten ogród dzieci moje szanować powinny.

Drugi ustęp brzmi:

> Szczęśliwy kto zamieszka komnaty, co pierwszym jego były światem, gdzie te same obicia, malowidła, sprzęty, a nadewszystko ciemne zakątki, co się tak silnie wyciskają w umyśle dziecinnym... gdzie jednem słowem, wszystko zatrzymało jeszcze, jakoby dotknięcie kochanych Rodziców, jakby cząstkę ich dawniejszego życia. — Wtenczas zdaje nam się wszystko niedawno. — Niema szorstkiego przedziału między tem, co było, a tem, co jest.

Szczęścia tego, o którem mówi dziad mój, nie zaznałam nigdy. Nieszczęściem zaś mojem w życiu, stale z osobą moją związanem, było namiętne przywiązywanie się do

różnych miejscowości, jakby do żywych osób, które wkońcu bezpowrotnie tracić i żegnać było udziałem moim... Gniazdo nasze rodzinne do liczby ich należało.

Kiedy po raz pierwszy Beńkową Wisznię ujrzałam, liczyłam lat jedenaście. Nieznane mi były oczywiście wówczas pamiętniki dziadka, nawet o ich istnieniu nie słyszałam, jednak wszystko, co w nich wyraził, w mojem dziecięcem sercu tem samem już rozbrzmiewało echem...

Pamiętam wycieczkę tę jak dzisiaj. Z Przyłbic, gdzie spędzałam wakacje, wujostwo Szeptyccy wraz z ojcem moim i dwoma młodymi krewnymi wybrali się końmi do Dubaniowic, o jakie 4 kilometry od Beńkowej Wiszni odległych, w odwiedziny do ciotki mojej, a ich ciotecznej siostry, Marji z Jabłonowskich Henrykowej Fredrowej. Zabrano i mnie; nazajutrz całe towarzystwo a ja z niem, pojechało spacerem zwiedzić stare gniazdo fredrowskie. Stało ono pustką od śmierci mojej matki. Dwór duży, ciemny, jakby zaklęty, ogromne, puste pokoje, w których stały nieliczne, staroświeckie, zakurzone meble — ogromny, dziko zarośnięty ogród, pełen niebotycznych, wspaniałych drzew, odbijających się częściowo w rzeczce Wiszence i stawie — wszystko to zrobiło na mnie głębokie, nigdy niezatarte wrażenie. Prześliczną, a zarazem dziwnie tajemniczą i bezdennie smutną wydała mi się Beńkowa Wisznia... W mojej zawsze bujnej wyobraźni porównywałam ją do jakiejś opuszczonej, zaklętej królewny. I za tym pierwszym razem rzuciła na mnie, na zachwycone oczy moje i serce, czarodziejski swój urok, wzięła mnie w posiadanie, przykuła do siebie na zawsze...

Dwór beńkowo-wiszeński, pospolicie pałacem zwany, wybudował dziad mój, nie według własnego pomysłu ani według (jak to pisze p. A. Grzymała Siedlecki) willi włoskiej z powieści Walter Scotta — ale, tak mi przynaj-

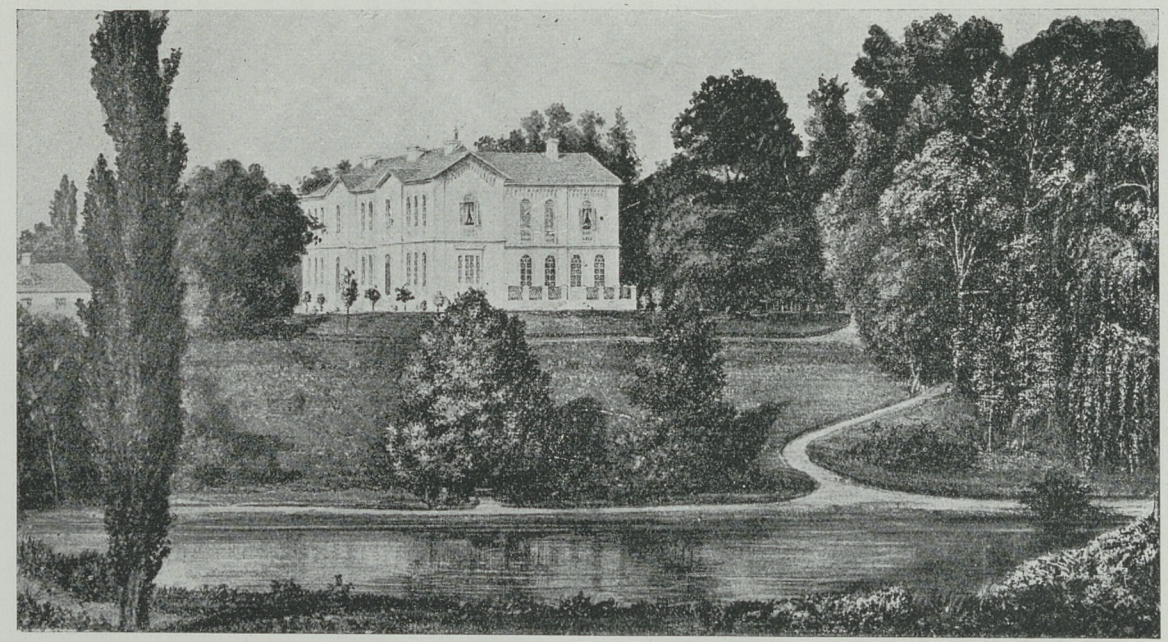

Pałac w Beńkowej Wiszni (według akwareli J. Swobody).

mniej mówiono, według rysunku, przypadkowo w ilustracji angielskiej ujrzanego.

Ojciec mój przebudował go trochę i bardzo upiększył, znosząc długi, wilgotny pawilon, który się ciągnął między jego zachodniem skrzydłem a starą oficyną i widok na staw zasłaniał.

Do Beńkowej Wiszni jeździliśmy kilkakrotnie przed śmiercią dziadka na wakacje; — przenieśliśmy się zaś do niej na stały pobyt z ojcem moim i nauczycielką dopiero w r. 1878. W niej spędziłam najpromienniejszy, najszczęśliwszy okres mojej młodości; wszystko w niej było mi drogie i miłe — i te duże, dolne pokoje, pełne staroświeckich sprzętów i starych rycin, i ta nieco ciemna poważna bibljoteka na górze, otoczona wysokiemi szafami, nad któremi rzędem wisiały portrety królów polskich, a w której spędzaliśmy zimowe nasze wieczory, i każda, każda ścieżka tego cudownego ogrodu, jakiego drugiego na świecie niema — tego ogrodu, w którym „na stoku górki nad studnią, wznosił się ów klomb dziewięciu świerków, ręką prababki sadzony, przedstawiający liczbę żyjących wówczas dzieci.“

Z okien mojego pokoju roztaczał się widok niezrównany, którym nigdy dosyć oczu nasycić nie mogłam, na taras otoczony różami, na staw, u podnóża jej leżący z malowniczą wyspą na nim, na daleko ciągnące się w stronę Rudek pola — a wkońcu na zamykający horyzont długi łańcuch sinych Karpat...

Z ojcem moim przebywałam dużo — niemal dzień cały. Rankiem często oddawaliśmy się rybołowstwu, po południu jeździliśmy razem konno. Ojciec lubiał czasy minione wspominać, opowiadał dawne dzieje i przygody, a opowiadania dar miał ogromny. W tym to czasie zaczął pisać swoje wspomnienia. Niestety, z nieznanych mi powodów,

urwał je po dwóch rozdziałach; jakże żałować wypada, że nie doprowadził ich do końca! Dwa te rozdziały zostały wydrukowane w *Przeglądzie Polskim*[1] umieszczam je powtórnie na końcu moich zapisków, ażeby i szersza publiczność z niemi zapoznać się mogła.

Czwartym domownikiem naszym była osobistość arcyoryginalna, stary Swoboda, w niezliczonych rysunkach ojca mego uwieczniony, Czech rodem. Dziwny przypadek zbliżył go do naszej rodziny. Gdzieś około r. 1844 poszedł służący z listem od dziadostwa do poleconego im nauczyciela rysunku, którego do dzieci swych zgodzić chcieli. Posłaniec pomylił się o piętro — natrafił na Swobodę, takoż biednego artystę, poszukującego lekcyj — przez pomyłkę sprowadził go więc do dziadostwa i odtąd przylgnął on na zawsze do naszego domu.

Spędzał długie miesiące w Beńkowej Wiszni, najpierw przy ojcu moim i ciotce, którym udzielał lekcji, później wakacje przy bracie moim i przy mnie. Był to dziwak wielki, bardzo utalentowany, dowcipny, wesoły i — zwłaszcza na starość — straszliwie brudny. Brat mój, dużo w towarzystwie jego przebywający, utrzymywał, że pokój swój w dwojaki sposób zwykł był wietrzyć: na codzień, otwierając komodę lub szafę, a przy większych porządkach, wyjątkowo — drzwiczki od pieca. Pomysły miał on niezawsze dla siebie szczęśliwe, ale zawsze dla drugich zabawne.

I tak w r. 1848 w Galicji, w okresie politycznego naprężenia i atmosfery niemal już wybuchowej, kupił sobie psa i naprzekor władzom austrjackim nazwał go *Schwarzgelb*. Chodził w jasny dzień po najbardziej uczęszczanych ulicach Lwowa i na całe gardło wołał: „Schwarz-

[1] W zeszycie grudniowym 1897 r.

gelb! Schwarzgelb! tu!... do nogi!...“ Aż go wkońcu, policja zaaresztowała i z psem, czy też bez psa, do więzienia wpakowała. Uwiadomił on czem prędzej o tym smutnym wypadku mojego dziada, błagając o szybki ratunek. Dziadek oczywiście wszystkie sprężyny poruszył, aby go uwolnić, co mu się też niebawem udało.

Uradowany Swoboda postanowił swoją wdzięczność w najbliższym czasie okazać. Wkrótce więc potem, na uroczystość św. Aleksandra, wielkim kosztem zamówił muzykantów i urządził pod oknami dziada serenadę. Wszelkie takie publiczne manifestacje (chociażby tylko wdzięczności), były w tym czasie zakazane. Wynikiem serenady było zatem powtórne uwięzienie Swobody i powtórna prośba o interwencję dziada. W Beńkowej Wiszni był zamłodu nieodstępnym towarzyszem zabaw mego ojca; na starość osiadł u nas na stałe. Jak dzień długi, nie robił nic zgoła, tylko pisał, a raczej twierdził, że pisze Naukę o perspektywie, *Die Perspectiv-Lehre*, i to w streszczeniu. Pracował nad nią rzekomo 30 lat z górą, ale jej nigdy do końca nie doprowadził. Parę lat po mojem zamążpójściu zacne swe życie u brata mego zakończył.

Kiedy już powiedziałam słowo „nauczyciel“, przypomina mi się anegdotka, od ojca słyszana, a której jakoś w wspomnieniach swoich umieścić zapomniał. Miał on w tym samym czasie, co Swobodę, jako nauczyciela rysunku także i tak zwanego guwernera *en forme*. Nie wiem, czy kształcił on ojca tak samo, jak Płachetko dziada, ale wiem, że poza lekcjami gustował wielce w towarzystwie osób, należących do płci pięknej. Skwapliwie więc bywał w domu pewnego mandatarjusza rudeckiego, mającego kilka ładnych córek. Panienki te znów chętnie tańcowaly, a biedny światłodawca sztuki tej nie posiadał. Dość, że pewnego razu, a raczej pewnej nocy, ojciec mój, razem z nim mieszkający, obu-

dziwszy się, dziwny ujrzał widok. Oto przed dużem lustrem stały na ziemi dwie świece, a pan guwerner w bieliźnie przebierał nóżkami i ćwiczył się w ten sposób wśród ciszy nocnej w jakimś kroku tanecznym.

Dykteryjek w tym rodzaju dużo słyszałam i niejedną opowiedziećbym mogła, ale mam wrażenie, że na gust dzisiejszy są już „przestarzałe". Co jedno pokolenie bawi — drugie nudzi; tak jak ustrój czasów, zmienia się i umysłowość ludzi. Czyż naprzykład zdoła szerszą publiczność rozweselić opis ceremonjalnej wizyty pewnego starego proboszcza u dziadostwa, w Beńkowej Wiszni, wizyty, której przebieg babka, zawsze śmiejąc się, wspominała? Proboszcz przyjechał zakatarzony, a katar, rzecz wiadoma, oddech nosem utrudnia. Rozmowa szła ciężko, raz po raz milczeniem przerywana. Śród takiego milczenia wydał nos proboszcza przeciągły a dziwaczny odgłos, a babka, w najlepszej wierze, zawołała: „O, trąbka!... Poczta jedzie!..." — Skonfundował się straszliwie biedny księżyna, co widząc dziadek odrzekł. „Ależ nie, zdaje ci się!" — i czem prędzej nowy temat jakiś poruszył, by uwagę babki od nieszczęśliwej trąbki odwrócić. Naprożno! — Nie minęło i pięć minut, gdy proboszcz znów oddech nosem z trudnością wypuścił, a babka powtórnie palec podniosła, wołając: „Nie, nie! Nie zdaje mi się — tym razem trąbkę słyszałam na pewno". — Jeżeli gość przetrwał męki w ciągu swej wizyty, równe — a może i gorsze — przetrwał dziadek, by nie tracąc powagi, sytuację uratować...

— Pan A. Grzymała Siedlecki ogłosił przed kilku laty w *Rzeczypospolitej* (1921) szereg fejletonów pod tytułem W GNIEŹDZIE FREDROWSKIEM. Nie potrzebuję mówić z jakiemi różnorodnemi uczuciami je czytałam. Jakże żałuję, że się ze mną poprzednio nie porozumiał! Byłby uniknął różnych niedokładności, niezbyt może ważnych,

ale które niniejszem winnam sprostować. Znajduje się tam opis, dawnego polowania w Beńkowej Wiszni według opowiadania byłego strzelca Jana Jarząbka, opowiadania, które wiarogodnem nie jest. — Ojciec naratora, stary Wincenty Jarząbek, takoż strzelec ojca mego, mający pod swoim zarządem małą psiarnię, składającą się z pięciu czy sześciu jamników i dwóch psów legawych, strzelał źle, ale zato „koloryzował“ znakomicie. Daleka jestem od twierdzenia, że syn jego w ślady ojcowskie pod tym drugim względem wstępuje (chociaż zdarza się czasami, iż właściwości takie dziedziczne bywają), przypuszczam raczej, że zaszło między nim a panem Grzymałą Siedleckim, proste nieporozumienie.

Jarząbek, będący najpierw, za lat młodych w służbie u ojca mego, a później dopiero u brata, mówiąc o „starszym panu hrabi“, miał oczywiście na myśli mego o j c a, a n i e d z i a d a, którego ani znać, ani nawet widzieć nigdy nie mógł, jest on bowiem zaledwie o parę lat starszy ode mnie, a dziadek, po śmierci mojej matki, w niezamieszkałej Beńkowej Wiszni ani razu nie był. — Jedyna i ostatnia jego za mojej pamięci podróż była to trzydniowa wycieczka do Przyłbic, w towarzystwie babki, ojca i mojem, na dzień św. Zofji w roku 1874. Zresztą długo przed mojem przyjściem na świat przestał już polować, a kiedy jeszcze polował, to nigdy w sposób przez Jarząbka opisany...

„Ho!... ho!...“— cytuję odnośny ustęp —„bywały to wyprawy! w kilkadziesiąt bryk, jeździło się milami (!) do lasów... kuchnie, psiarnie, podwody z obrokami... panowie z całej okolicy!“

— O czem on mówi? — pytałam się w duszy, czytając ten opis. Chyba o dość odległej jeździe w kilka bryczek na polowanie do Nikłowic, majątku, kupionego przez mego brata na parę lat przed śmiercią. Ani mój ojciec, ani tem

mniej mój dziadek, żadnych podobnych wypraw nigdy nie urządzali. Lasy beńkowo-wiszeńskie można z łatwością w jeden dzień objechać, zbyteczne zatem byłyby podwody z obrokami i owe „kilkadziesiąt (!)“ bryk Jarząbka.

Dziadek mój, tak samo jak ojciec, lubiał polować, lecz tylko w gronie najbliższych sąsiadów i przyjaciół, bez żadnych tak zwanych fanaberyj. Za czasów jego zwierzyny w lasach tamtejszych było niewiele; składała się jedynie z zajęcy i lisów. Już nie wiem, kto mi opowiadał, że gdy się w nich razu pewnego pojawiła sarna, urządzono na nią w całej okolicy obławę, jako na arcyrzadkiego, grubego zwierza!

W Archiwum Fredrowskiem znajduje się zeszycik pożółkły, związany różową, wyblakłą wstążeczką, zapisany czystem, starannem pismem dziecinnem. Nosi tytuł: *A mon cher Papa, le 12 décembre 1841.* UNE CHASSE. Jest to wypracowanie francuskie ojca mego, dwunastoletniego wtedy chłopca, ofiarowane na imieniny dziadkowi, a zawierające szczegółowy opis pewnego, zdaje się jego pierwszego w życiu, polowania w Beńkowej Wiszni. Kto ciekaw wiedzieć, jakie to „łowy“ odbywały się tam w owych czasach, niechaj przeczyta dosłowne niniejsze tłumaczenie, kogo to nudzi, niech przeskoczy.

POLOWANIE.

W dniu, kiedy miałem towarzyszyć ojcu memu na polowanie, obudziłem się pierwszy; wszyscy jeszcze spali. Ubrawszy się, pierwszą czynnością moją było dokładne obejrzenie strzelby, aby być pewnym, że nie spali na panewce.

Przekonawszy się, że była należycie wyczyszczoną, udałem się do stryja Henryka[1] i do pana Hoszowskiego[2], aby

[1] Fredry, młodszego brata mojego dziada.

[2] Nereusza Hoszowskiego z Chłopczyc, sąsiada Beńkowej Wiszni.

ich obudzić. Pan Hoszowski, jak tylko drzwi skrzypnęły, zerwał się na równe nogi, ale stryj nie przestał chrapać do chwili, gdy go dopiero głośne moje wołanie z głębokiego snu wyrwać zdołało. Obaj zajęli się niezwłocznie przygotowaniami do polowania; podano śniadanie, przy którem zapanowała odrazu wesołość tak wielka, że się i wujowi Ludwikowi[1] udzieliła i postanowił nam towarzyszyć, zamiast dnia tego wrócić do Lubienia. Puściliśmy się w drogę około godziny ósmej. Pogoda była śliczna, ziemia pokryta rosą, a liśćmi nie poruszał najmniejszy podmuch wiatru. Lasek, w którym mieliśmy polować, położony jest na stoku pagórka, u stóp którego płynie rzeczka, a że był bardzo gęsty, więc przecięto go środkiem długą linją, na której pozostawione były w pewnej odległości pojedyncze drzewa w tym celu, aby myśliwi się nawzajem nie postrzelili. Na samym końcu linji znajduje się łączka, z której widać było rzeczkę i sieci las okalające — droga ciągnie się wzdłuż lasu od strony wschodniej i prowadzi do Dubaniowic[2]. Zatrzymawszy się na oznaczonem miejscu, wyskoczyliśmy z bryczek, wyciągnęliśmy strzelby i poszliśmy piechotą na spotkanie wuja Kazimierza i kuzynki mojej Marysi, która przybyła konno. Koń jej nazywał się Sokół. Swoboda dosiadł konia papy a wuj Ludwik, który wolał polowania w polu z chartami od naszego, poprosił, aby posłano do Dubaniowic po wierzchowca dla niego.

Podczas, kiedy psy gończe prowadzono do miejsca, skąd puszczone być miały, usiedliśmy sobie na pagórku i rozmawialiśmy przez przeszło kwadrans, który mi się wiekiem wydał...

Nareszcie wybiła upragniona chwila, w której odgłos trąbki myśliwskiej rozległ się po lesie. Drgnąłem z radości; wszyscy myśliwi, torby na ramieniu, czapki nabakier, strzelby w ręku, pośpieszyli na swe stanowiska. Nieco później przyniósł słu-

1 Jabłonowskiemu, bratu babki.

2 Majętności Kazimierza Jabłonowskiego.

żący wujowi Kazimierzowi krzesełko (nie może on, dla słabości, zbyt długo stać) i postawił je na brzegu lasu, w takiem miejscu, aby z niego wuj mógł nietylko strzelać do zajęcy, wymykających się z kniei, ale i do tych, które charty goniły w polu. Wszyscy myśliwi ubrani byli w watowane lub futrem podbite surduty, jeden wuj miał na sobie tylko flanelowy kaftanik, spodnie z tego samego materjału i letni surdut — czapkę nosił głęboko na oczy wsuniętą, a przechodzień, któryby go był w tym dziwacznym stroju ujrzał, byłby go wziął odrazu za starego zmordowanego myśliwego. Na to miano wuj rzeczywiście zasługiwał, nikt bowiem lepiej od niego tajników sztuki łowieckiej nie znał. Wzdłuż rzeki kazał on był porozstawiać sieci i co kilkadziesiąt kroków chłopów, w długie kije uzbrojonych, a z drugiej strony strzelców, trzymających charty na smyczy tak, aby uchodząca zwierzyna albo wpadła w sieci albo przez charty była schwytaną.

Niebawem ujadanie psów oznajmiło nam, że tropienie już rozpoczęte i że psy goniły zająca lub lisa. Wówczas myśliwi odwiedli kurki i z palcem na cynglu, z oddechem zapartym, czekali na zwierza... Wnet pokazuje się zając, wylękły pędzi wprost na mnie. Nie tracąc czasu, posyłam mu nabój w tułów — strzał jednak nie był śmiertelny — szarak zawraca, ale ojciec mój dobija go, gruchocąc mu tylny skok. Na ten hałas psy przyleciały, zgromadziły się wkoło drzewa, na którem byliśmy z ojcem zająca zawiesili, i tylko z biedą zmusiliśmy je do podjęcia nowego tropu. Nie upłynęło i dziesięć minut, gdy znów rozległo się ich szczekanie — padł strzał i usłyszeliśmy okrzyk *Haho! haho!*, który to sygnał drugim myśliwym oznajmia, że zwierz jest zabity. Po tym strzale nastąpiła długa, półgodzinna cisza — psy powróciły do tej części lasu, z której pierwszego zająca były wygnały, wpadły na trop lisa, który miał rozum przejść przez łączkę, gdzie stałem, ale o wiele za daleko ode mnie; następnie okrążył las, przeszedł koło p. Hoszowskiego,

który go gładko chybił. Tysiącznych użył przebiegów, aby zmylić gończych, aż wkońcu p. Kordaszewski[1] dwukrotnie do niego strzelił na 54 kroków i na miejscu zabił.

Zażarta psiarnia zaledwie nam dała czas rzucić okiem na nieboszczyka, a już znów wpadła na trop zająca; musieliśmy co tchu pędzić na nasze stanowiska. P. Hoszowski o mało co się nie spóźnił — jeszcze jakie 20 kroków dzieliły go od jego drzewa, gdy ujrzał zająca, zatrzymał się więc, odwiódł kurki i wypalił. Zając, chociaż trafiony, poszedł jednak dalej, ale go psy dopadły i pożarły, zanim się udało go im wydrzeć. Opis wszystkich szczegółów tego polowania zabrałby za wiele czasu, byłby długi i nudny. Zadowolę się więc powiedzeniem, że przez pełne dwie godziny nikt z myśliwych na linji nie zobaczył najmniejszej sztuki, a przez ten czas jeden stryj Henryk strzelał bez przestanku.

Nie mogę pominąć milczeniem wypadku, który się wujowi Kazimierzowi zdarzył. Wiedząc, że myśliwi uczują wnet głód i pragnienie, kazał był przynieść butelkę nektaru myśliwskiego, t. j. wódki. Służący postawił ją w krzaku, o czem wuj nie wiedział. Wkrótce potem pomyka zając i to właśnie w pobliżu owego krzaka, w którym schowaną była butelka. Wuj chwyta za strzelbę, strzela, chybia zająca, a cenną flaszkę w tysiąc kawałków rozbija. Kiedy myśliwych uwiadomił o zaszłem nieszczęściu — wpadli w rozpacz, zwłaszcza p. Hoszowski zrobił minę żałosną, ale wuj pocieszył ich niebawem, pokazując im drugą, pełną butelkę, którą bardzo ostrożnie na trawniku postawiono. Nie koniec to jeszcze był naszym nieszczęściom. Od rana nic nie jadłszy, chciałem ukroić kromkę chleba z bochenka, który służący dopieroco był przyniósł i obok flaszki na ziemi położył.

Schyliłem się — strzelba zesunęła mi się z ramienia i stłukła drugą flaszkę!... Na ten brzęk przyleciał p. Hoszowski,

[1] Nauczyciel mego ojca.

załamał ręce i zawołał: „O podrostku! Nie mogłeś zaczekać momencik, żebym się był napił!“

Powróciwszy na nasze stanowiska, widzieliśmy jeszcze dwa zające, do jednego strzelba moja spaliła na panewce, poczem ojciec mój go ranił — odległość była jednak duża, strzał nie mógł więc być śmiertelny — wkrótce straciliśmy go z oczu.

W tej chwili przyleciał zadyszany Swoboda oznajmić nam, że przybyło jeszcze dwóch tępicieli zwierzyny, żądnych mordu, w osobach pp. Krasickiego i Batowskiego; wróciliśmy zatem do wuja Kazimierza, którego zastaliśmy bardzo rozgniewanego na p. Hoszowskiego. Nie mogąc bowiem znieść dłużej dokuczającego mu głodu, zabrał się on był do domu. Zrobiliśmy jeszcze kilka wysiłków w celu ożywienia polowania, ale psy były tak pomęczone, że co chwila się na ścieżkach pokładały. Nie było więc co dłużej w lesie robić. Widząc to, poszliśmy za przykładem p. Hoszowskiego i wróciliśmy wszyscy do domu.

Początkujący myśliwy[1]).

Szczegółowy, dziecinny a jednak ciekawy ten opis musiał być znany Juljuszowi Kossakowi, bo chyba według niego uwiecznił on w ślicznej akwareli scenę śniadania myśliwych w lasach beńkowo-wiszeńskich. Grono ich, z wujem Kazimierzem Jabłonowskim na czele, stoi, siedzi i leży na ziemi; jest tam i dziad mój, i ojciec jako dwunasto- lub trzynastoletni chłopak, i stryj Henryk Fredro, i Hoszowski... Same portrety. Opodal, z koni, patrzą na myśliwych Marysia Jabłonowska, późniejsza Henrykowa Fredrowa, może właśnie na owym Sokole, o którym ojciec mój wspomina — i ku niej zwrócony młody jeździec, może wuj Ludwik, a może jej ówczesny konkurent Feliks Karnicki... Zboku stoi służba leśna, strzelcy, śród nich oczy-

[1]) *Un demi chasseur.*

wiście Fabjan, przyboczny zaufany kozak wuja, trzymający psy na smyczy — przy nich leży ubita zwierzyna, kilka zajęcy i lisiura.

Pendant do tego obrazu tworzył drugi, tych samych rozmiarów, przedstawiający przygodę myśliwską Kazimierza Jabłonowskiego w górach, a więc wuja na góralskim kucu, składającego się spokojnie do ciężko rannej, rozwścieczonej niedźwiedzicy, która, otoczona sforą psów, wprost na niego szarżuje. Obie te przepiękne akwarele zdobiły przez dłuższy czas ściany starego dworku w Przyłbicach — śród zawieruchy wojennej, wraz z innemi cennemi pamiątkami, bezpowrotnie zapewne zaginęły... Możeby ks. Urusow, który w r. 1914 w okolicy Jaworowa grasował i rabował — mógł coś o nich powiedzieć.

Dziad mój w znanym wierszu[1] do szwagra swego Kazimierza Jabłonowskiego wspólne ich łowy opisuje; snadź szczera, serdeczna łączyła ich przyjaźń. O wuju Jabłonowskim różne ciekawe słyszałam anegdoty; był to typ nadzwyczajny, dziś już chyba nie spotykany, bo nie istniejący. Nemrod zawołany i sławny na całą Polskę, a zarazem, chociaż śród sąsiadów raczej popularny, w życiu codziennem człowiek niesłychanie gwałtowny, twardy, bezwzględny, prawie że wpół dziki. Nie ulega wątpliwości, że służył on dziadkowi za wzór do postaci Jeremjasza Sępa.

Owdowiał wcześnie; córkę swoją jedynaczkę, śliczną Marysię kochał namiętnie, ale na swój sposób; o wychowanie jej, nawet najelementarniejsze, nie troszczył się wcale, wprawiał ją zato od najmłodszych lat do konnej jazdy i polowania z chartami. Nie był szczodrym w objawach czułości, jednakowoż gdy pewnego razu uszczuła sama na własną rękę, ale nie na własnych polach, dwa

---

1 POLOWANIE. Do Kazimierza Jabłonowskiego. DZIEŁA, T. XII 9.

zające i przywiozła mu je, do siodła przytroczone, wyjątkowo ją za ten czyn uściskał. Kiedy znów, nieco później, owa Marysia nie chciała przyjąć upatrzonego przez ojca konkurenta, rozgniewał się tak, że za karę wydał rozkaz zastrzelenia jej ulubionego wierzchowca. Łzy, prośby i zaklęcia córki okazały się daremne, w ostatniej dopiero chwili Fabjan, padłszy jak długi do nóg pana, zdołał wyprosić cofnięcie srogiego wyroku.

Innym razem na polowaniu niebacznie strzelił prosto w stojącego na sąsiedniem stanowisku Hoszowskiego i wpakował mu trzynaście śrutów w nogę. Hoszowski, znając wuja, choć broczył krwią, nie pisnął i słowa, ale cichaczem, w milczeniu, kazał się odwieźć do domu. Wkrótce potem powrócił i wuj z lasu, a usłyszawszy o zaszłym wypadku, poszedł do rannego i zastał go mozolnie wyciągającego nad szaflikiem śruty z ciała. Popatrzył przez chwilę na tę operację, wkońcu wzruszył pogardliwie ramionami i mruknąwszy tylko pod nosem jedno słowo: „Delikacik!“ wyszedł z pokoju.

A jednak, mimo owej bezgranicznej twardości charakteru, nie był on zupełnie pozbawiony serca. Jeżeli do kogo czuł coś nakształt przywiązania, to chyba właśnie do owego, wyżej wymienionego kozaka Fabjana, długoletniego nieodstępnego towarzysza polowań, równego sobie zapamiętałego myśliwego, znającego narówni z nim kunszt łowiecki, a zwłaszcza umiejącego sławnie wabić głosem wilki w łozach naddniestrzańskich.

Opowiadał mi mój ojciec, że kiedy po śmierci Fabjana prowadzono zwłoki jego na cmentarz, wuj wyszedł przed dom, kazał kondukt żałobny zatrzymać, zbliżył się do wozu, i przyłożywszy dłonie do ust, przeciągle, kilkakrotnie zawył jak wilk, poczem czas jakiś nadsłuchiwał... Ale stary Fabjan na ten znany odgłos nie ruszył się w trumnie...

Wtedy dopiero wuj w śmierć jego uwierzył — rzekł: *Dijsno pomèr*[1] i dał znak, by ruszono dalej...

Nie tak dalekie to czasy i zdarzenia, które tu opisałam, dzieli je od teraźniejszości przedział zaledwie lat kilkudziesięciu... Dziadka mego znałam przez pierwszy, długi okres dzieciństwa i w zaraniu młodości, niektórych stryjów i wujów dobrze pamiętam, a jednak nieraz, gdy mówię o tych ludziach i dziejach, mam wrażenie, że przepaść jakaś olbrzymia odgradza mnie od nich — jakby stulecie przynajmniej...

Tak się to wszystko do niepoznania zmieniło, takich starań, takich, rzecby można, wysiłków dołożyła ręka ludzka, aby wszelki ślad tej przeszłośćci doszczętnie zatrzeć....

Beńkowa Wisznia, rodzinne gniazdo nasze, bez wiedzy mojej ani też dzieci moich, w obce przeszła ręce.... Mimo jasno wyrażonego życzenia w przedśmiertnym liście brata mego do żony, aby „klucz Rudki wrócił do rodziny", życzenie to spełnione nie zostało... Życzenie bowiem z rozporządzeniem prawnem nic wspólnego nie ma!...

Wdowa po bracie, 2 voto Aleksandrowa Skarbkowa, a jeneralna jego spadkobierczyni, dobra Beńkowa Wisznia oraz Jatwięgi, w których dziadek pierwsze swoje komedje napisał, stanowiące główną część klucza rudeckiego, uznała za stosowne rozparcelować, a zaś w r. 1919 sam dwór z ogrodem i resztą obszaru dworskiego sprzedać Towarzystwu Gospodarczemu we Lwowie na bardzo dogodnych dla niego warunkach, które to Towarzystwo założyło tam wzorowe zakłady ogrodnicze wraz z szkołą dla młodzieży obojga płci i fabrykę konserw.

„Ponieważ majątek Beńkowa Wisznia należał do wielkiego naszego komedjopisarza Aleksandra hr. Fredry" — przytaczam ustęp z broszury

[1]) Zmarł istotnie.

p. t. FREDRÓW — „komitet Towarzystwa Gospodarczego czuł się w obowiązku dla uczczenia pamięci tego rodu nazwać obszar dworski czyli obecne zakłady ogrodnicze „Fredrowem".

Innemi słowy, zmienić nazwę Beńkowa-Wisznia na Fredrów! Beńkowa-Wisznia jako taka przestała istnieć... O dokonanym fakcie tej sprzedaży dowiedziałam się, jak zwykle, z gazet; próba odkupienia majątku od Towarzystwa Gospodarczego spełzła — oczywiście — na niczem.

Bywają rany w sercach ludzkich — zaznaczyłam to już kilkakrotnie w części poprzedniej — tak ogromnej wrażliwości, że dotknięcia najlżejszego nie znoszą... O Beńkowej Wiszni, przez pierwsze lata, nietylko mówić, ale nawet myśleć nie byłam w stanie... Ani wówczas przypuszczałam, że kiedyś w rozbolałej duszy mojej — ta bezgraniczna, z dniem każdym rosnąca a niemal bezwiedna tęsknota za utraconym rajem wszelkie inne uczucia zwycięży, pochwyci mnie, opanuje tak zupełnie, że ulec jej będę zmuszona...

Ach, raz jeszcze w życiu, raz ostatni, ujrzeć te strony tak gorąco umiłowane — odetchnąć jakby powiewem minionej młodości, owych lat promiennych „sielsko anielskich", pod okiem drogiego ojca tam spędzonych — uklęknąć w kościele rudeckim, — zejść do grobowców, w których wszyscy moi najbliżsi długim rzędem spoczywają — ucałować ich trumny — i cicho, cicho im jednym się poskarżyć!....

...Dnia 14 sierpnia 1924 stanęłam w Beńkowej Wiszni.

Czy zaznaliście kiedy męki pragnienia? A po niej następującego uczucia niemal zwierzęcej łapczywości, z jakiem człowiek chwyta czarkę podanej mu wody, do suchych spieczonych warg ją przyciska i pije, pije, pije... bez pamięci — bez końca ni miary....

Tak od chwili, kiedy zdala ujrzałam rodzinne kąty

moje — piłam, wchłaniałam formalnie w siebie oczyma wszystko — od całości do najdrobniejszych szczegółów — wszystko, do czego dusza od tylu lat się rwała... I powtarzałam sobie bez przerwy, niezliczone razy: „O Boże! Boże! To nie sen... Jestem tu, w Beńkowej Wiszni... widzę ją na własne oczy... to nie sen!...“

A ona, ta stara Beńkowa Wisznia nasza, w jakież cudowne, iście królewskie przybrała się szaty na moje przyjęcie!

Skąpana cała w promieniach słońca, okolona zewsząd zielenią niebotycznych prastarych drzew, nad które piękniejszemi żaden ogród poszczycić się nie może — strojna w klomby różnobarwnych kwiatów — zdawała się mówić: „Patrz!... Równej mnie drugiej niema na świecie!... Sporo lat upłynęło, odkąd tu byłaś... przeleciała i tędy burza wojenna... zmieniło się niejedno — zmienili się właściciele tutejsi, zmieniłaś się i ty... Ja zawsze jestem ta sama...“

Czyż tak?... Doprawdy?... Niemasz zmian u ciebie?...

I chciwie wzrokiem wiodłam dokoła...

Pałac stoi, jak stał — nietknięty. Górne okna dawnych naszych mieszkalnych pokoi szeroko otwarte. Nie wejdę tam do środka — nie mogę... Wolę pójść do parku. Ale jeszcze przedtem, krótką chwilę zatrzymam się na zachodniej terasie, tej pod mojemi niegdyś oknami położonej. Staw u podnóża jej zniknął, niestety, zamieniono go na warzywnik, ale poza nim oczy moje spotyka, i przykuwa, i czaruje ten sam widok, co dawniej — na uroczą wyspę, na dalekie pola, ciągnące się ku Rudkom, na długi łańcuch sinych gór, zamykający horyzont...

Zwracam kroki w stronę ogrodu — błądzę po nim, i patrzę, i witam... Pojedyncze weterany, zgrzybiałe resztki odwiecznej, w czworobok sadzonej alei lipowej, o której

dziad mój w pamiętnikach swych wspomina, istnieją jeszcze... Park utrzymany wzorowo, ale mocno przerzedzony. Ząb czasu widać wszędzie, dużo starych olbrzymów powalił, pozostałe na trawnikach wspaniałe jednostki prawie policzyćby można. Znikł wielki świerk przy domu, pod którego cieniem dzieci moje bawiły się jeszcze z ojcem już chorym, znikła i ławka, na której dziadek siadywać lubiał, bo z niej widać było grupę 9 świerków, na stoku górki ręką prababki posadzonych, na pamiątkę żyjących jej 6 synów i 3 córek... Znikło i owych dziewięć świerków — ani jeden nie pozostał...

Szybko, szybko, chodzę to tu, to tam... Radabym każdy zakątek obejrzeć, wyzyskać każdą sekundę godziny. Ale nie jestem sama — czekają na mnie... Już pora wracać... Zanim jednak ku domowi podążę — muszę, muszę jeszcze spuścić się nadół, tam, ku zaroślom, co staw niegdyś okalały, tą wąską, stromą ścieżynką, po której codziennie, i ileż to razy dziennie, w swawolnych skokach zbiegałam przed laty...

Ścieżynka istnieje — zarośnięta, rzadko widać używana... Powoli, ostrożnie po niej zaczynam schodzić... Nagle — zatrzymuję się...

Co to jest? Czuję pod nogą stopień, naturalny stopień, utworzony napoprzek ścieżki przez dwa grube, podziemne korzenie... Jakże dobrze jest mi znany! Jakże często o niego niegdyś nogą potrącałam! Jak się wprawiłam wkońcu lekko go przeskakiwać!...

Ten sam stopień....

I dzieje się rzecz dziwna — niepojęta... Do tej chwili zaciskałam zęby, łzy połykałam, jednem słowem — panowałam nad sobą — trzymałam się... I oto dotknięcie tego stopnia podziałało na mnie, jak nagła, nieoczekiwana, prawie że namacalna bliskość minionej przeszłości — do-

tknięcie to odrazu poszarpało mi serce w kawały... poczęłam szlochać...

Na wyjezdnem wpobliżu tej ścieżki uklękłam, aby zebrać do woreczka, w tym celu przywiezionego, garść ziemi z ogrodu beńkowo-wiszeńskiego, tego ogrodu, o którym dziad mój pisał, że „go dzieci szanować powinny“...

Cóż więcej mogłam uczynić?...

SKARB.

Co skarbem jest dla człowieka?
Wszystko, co kocha bez miary...
Ja skarb przywożę zdaleka:
Garść ziemi szarej!

Krzyżową przebyłam drogę —
Za cenę ciężkiej ofiary,
Moją dziś, moją zwać mogę —
Garść ziemi szarej!

Bóg mi użyczył dość siły,
By raj móc zwiedzić stracony —
To, za czem oczy tęskniły,
Rodzinne strony!...

Witałam wzrokiem sto razy,
I sercem pełnem żałoby,
Z przeszłości drogie obrazy —
I drogie groby...

Witałam dom nasz — sto razy...
Każde w nim okno — kolejno —
Z tęsknotą ponad wyrazy —
Bo beznadziejną!...

Dom stoi... Życie gna dalej...
Dawna siedziba zajęta!...
Tych, co w niej kiedyś mieszkali,
Kto już pamięta?!...

Krocząc po ścieżkach ogrodu,
Tonęłam w wspomnień powodzi...
Kędy chodziłam zamłodu,
Kto dzisiaj chodzi?!..

Granic nie było tej męce!
Czas żalu wzmagał rozmiary,
Aż wyciągnęły się ręce
Do ziemi szarej!

„O, ziemio umiłowana!
Taką zbolałą mam duszę —
Po tobie krwawi wciąż rana...
Mieć ciebie muszę!!"

Upadłam w proch na kolano —
Z chciwością wprost nie do wiary,
Zebrałam, łzami zalana,
Garść ziemi szarej!...

Nad wszelkie skarby ją cenię!
Ból z szczęściem dla mnie jednoczy:
Jedno mam zatem życzenie —
Gdy zamknę oczy...

Pomnijcie, o przyjaciele!...
Nie chcę obrzędów paradnych —
Ni chórów pięknych w kościele —
Ni wieńców żadnych —

I nie chcę mowy ja szumnej,
Jako to zwyczaj jest stary —
Tylko mi włóżcie do trumny
Garść ziemi szarej!!...

WSPOMNIENIA
JANA ALEKSANDRA FREDRY

Jakie miano dalibyście moi państwo człowiekowi, który posiadając imię, majątek, szczęście i wogóle dosyć dobre stosunki z ludźmi, będąc przytem synem znakomitego ojca, sam uczciwym i niegłupim człowiekiem, potrafiłby tak dalece zmarnować życie, żeby doszedłszy do lat pięćdziesięciu nie zostawił żadnego śladu swoich czynności, prócz kilku fars naprędce rzuconych, nie zajął żadnego stanowiska w kraju, odosobnił się od ludzi, poważnił się z duchem czasu, myślą, ale nie czynem, stanął w zawziętej opozycji przeciw wszystkiemu, co się wkoło niego dzieje, któryby znienawidził stulecie, w którem mu Opatrzność miejsce naznaczyła, skwaśniał, stetryczał, wreszcie czuł się i był rzeczywistem zerem pośród społeczeństwa? — Oczywiście nazwalibyście go kompletnym.... i najzupełniej wasze zdanie podzielam, chociaż mi grzeczność względem was i siebie nie pozwala użyć wyrazu, który mi się nasuwa, a to tem bardziej, że tym człowiekiem jestem ja. Mam honor wam się przedstawić, łaskawi albo niełaskawi czytelnicy. Oto jestem, stoję przed wami.

Jak się zaś to stało, opowiem, nie dlatego, bym chciał komukolwiek, zwłaszcza młodzieży, odstraszający przykład postawić — bynajmniej — wszakże wiem, że nikt cudzem doświadczeniem nie został bogatym, nikt nie uwierzył, że ogień piecze, póki się sam nie sparzył. Nie wierzę zatem, by po przeczytaniu tych wspomnień, jeżeli je kto czytać

zechce, niechętny do nauki, gustu do niej nabrał, leniwy stał się czynnym, niewytrwały wytrwałym. Ot piszę, bo mnie zadymka i zaspy w domu na wsi osadziły, nie mam gdzie na dziki pojechać, książki mi wyszły, bo za leniwy byłem o nowe napisać, wreszcie, bo się sam w towarzystwie ze sobą okropnie nudzę, kpam się od rana do nocy, a zdaje mi się, że jak to kpanie po galicyjsku do protokółu wciągnę, to mi nieco ulży i trochę czasu zabiję.

Co wyraziwszy ni szeroko ni długo, zaczynam rozdział I moich wspomnień.

ROZDZIAŁ I.

Zmrok powoli zapada, zaczyna się szara godzina. Jesteśmy w Beńkowej Wiszni, w starym domu dzisiejszej oficynie, w bawialnym pokoju o meblach *empire;* drzwi do faworytalnego gabineciku moich rodziców, opisanego w Pamiętnikach[1]) mego ojca, i do żółtego jadalnego pokoju otwarte. Moja matka siedzi przy fortepianie (który mnie później tyle łez kosztował) i gra marsza księcia Józefa Poniatowskiego, o fortepian oparty stoi młody mężczyzna z ciemnemi wąsami w czamarce. Widzę go w czerwonej włóczkowej krakusce. Dlaczego w pokoju miał czapeczkę na głowie, nie wiem; może był ranny. Wiem, że mój ojciec i dwóch mężczyzn tam gdzieś byli, ale czy w bawialnym pokoju, czy w gabineciku, tego rozplątać nie mogę. Później dowiedziałem się, że ci dwaj młodzi ludzie, panowie Hebestreit i Wiłucki z wojska pruskiego poszli do powstania 1830 r. i dlatego nie mogąc wrócić do Wielkiego Księstwa Poznańskiego, dłuższy czas w domu moich rodziców bawili, dopóki ojciec jednego z nich, załagodziwszy ich sprawę z rządem pruskim, po nich nie przyjechał. Ów zaś młody człowiek w czerwonej krakusce, którego nazwiska rodzice nie pamiętali, nie mieszkał u nich, lecz dojeżdżał z sąsiedztwa. Po ich od-

[1]) Trzy po trzy.

jeździe przyjechał do Beńkowej Wiszni pan X. (nazwisko nieznane), który po kilku tygodniach pobytu, raz wziął mego ojca na stronę i przeprosiwszy go, że tak długo zachował tajemnicę, zwierzył mu się, że się nie nazywa X... ale Wiewiórkiewicz. I owszem!

Innym razem, ale to w samych początkach powstania, ojciec pojechał gdzieś w sąsiedztwo, podobno do dawnego kolegi, Seweryna Drohojowskiego, z bronią, która stamtąd do Królestwa miała być wysłaną. Matka sama w domu została. Wtem zajechało dwóch młodych ludzi: panowie Psarski i Gosławski. Ostatni pomimo grzecznego przyjęcia zdawał się w bardzo złym humorze. Dano do stołu. Matka, widząc zaburmuszonego Gosławskiego, więcej mówiła z wesołym i uprzejmym Psarskim; jednak chcąc być równie grzeczną dla Gosławskiego, zwróciła się ku niemu i zapytała, z których on jest stron Polski. „Nie jestem Polakiem“ — odrzekł rubasznie — „jestem Turkiem, tak jest, Turkiem! Nikt mnie w Polsce nie zna, nikt nie wie, kto ja jestem!“ Moja matka czując, że mimowoli bolesnej dotknęła struny, zamilkła, ale po obiedzie zapytała Psarskiego, co było powodem złego humoru Gosławskiego? — „Bo on jest poetą“— odpowiedział Psarski —„i czuje się obrażonym, gdy cały świat o tem nie wie“. Trzebaż było zaraz na wstępie powiedzieć, że jesteś wielkim człowiekiem, panie Gosławski! Poczciwy Psarski wkrótce potem zginął bohaterską śmiercią, rozszarpany od kuli armatniej. Cześć jego pamięci!

Owego wieczora o zmroku, od którego zacząłem moje opowiadanie, ja galopowałem po pokoju na kiju, stąd zapewne ta szczególna sympatja do kija, której do dziś dnia pozbyć się nie mogę. Tam bowiem, gdzie kulka lub stryczek za drastycznemi byłyby nieco środkami, cóż może wyrównać tej leszczynie, którą Bóg tak hojnie roz-

siał po ziemi, by trzymać w karbach wybryki krnąbnej, niesfornej, niepoczciwej ludzkości, dając tejże równocześnie tak stosowną część ciała do przyjęcia ojcowskiego napomnienia.

O święty kiju, który wszystko wiesz, wszystkiego nauczysz, dziś między stare graty w kąt rzucony, jakżebyś się teraz przydał we Francji, w Niemczech, w Rosji, ba, nawet w Wiedniu. A i u nasbyś nie zaszkodził! Spoczywaj w błogim spokoju przyjacielu, dopokąd niewdzięczna ludzkość sama do ciebie nie wróci, co daj Boże jak najprędzej. Amen.

Ale i my wróćmy do bawialnego pokoju w Beńkowej Wiszni. Galopowałem więc na kiju, uniesiony nie tem uwielbieniem, które dopiero co miałem honor wyrazić, ale marszem księcia Poniatowskiego, przyczem wywijając prętem czy drewnianym pałaszem, kładłem trupem wkoło siebie tysiące Moskali. Dziwna rzecz, że nie będąc, Bóg mi świadkiem, nigdy muzykalnym, do dziś dnia pamiętam uczucie, które ten marsz we mnie wzbudzał. Był to rodzaj rozdrażnienia nerwowego, budzący zapał, uniesienie tak silne, że zdawało mi się, że ziemi nie dotykam, że ze skóry wyskoczę, że dusza pędzi ciało na jakieś dalekie pola bitwy, gdzie niezwyciężony rąbię, kłuję, druzgocę wszystko, co mi opór stawia i nie ujrzałbym nigdy końca walki, gdyby fizyczne znużenie moich sił nie zmogło. Dziś, mając pół wieku za sobą, gdy usłyszę muzykę wojskową, zwłaszcza hymny narodowe, nawet wrogie (z wyjątkiem jednej Marsyljanki, która mnie szalenie do gwizdania usposabia), tak samo dreszcz mi po kościach przechodzi, tchy się w piersiach zapierają, tak samo leciałbym, rąbał, kłuł i siekł w prawo i w lewo... gdyby tylko było gdzie i kogo. Mniej czułym jestem na prostą, sielankową muzykę, chociaż i ta stosownie do chwili

i usposobienia czasem mnie rozrzewnia, równie jak muzyka Offenbacha z najgorszego humoru w najlepszy mnie wprowadza i jakby różdżką czarodziejską rozwesela. Ależ zato wielka opera i koncerty, o Boże, zwłaszcza te koncerty przeklęte, ta plaga boska na ludzkość zesłana, jakże mnie zawsze i wszędzie nudziły i nudzą! Lecz, co to nudzą, to mało powiedzieć, one mnie drażnią, wywołują nerwowe kryspacje (polskiego wyrazu na to nie znam), doprowadzają mnie do stanu, w którym chciałbym siąść na ziemi, płakać, kąsać i wyć z nudów i złości, jeżeli sali opuścić nie mogę. To jest moje muzyczne wyznanie wiary *à propos* marszu ks. Poniatowskiego.

Obiecuję Wam, mili czytelnicy, że się w dalszym ciągu tych wspomnień do gam, akordów, b-durów, cis i fis molów, zwłaszcza do sonat i nokturnów, brrrr... już nie wrócę.

Spodziewacie się jednak zapewne, że po tych ekstemporyzacjach o emigrantach, kiju i muzyce powiem wam coś zajmującego o tem, co się wtedy stało o szarej godzinie w beńkowo-wiszeńskim bawialnym pokoju, gdy moja matka grała marsza... przepraszam... gdy galopowałem po pokoju. Otóż mylicie się, moi państwo: nic się tam nie stało, zatem i nic wam opowiedzieć nie mogę; jest to poprostu pierwszy obraz, jaki moja dziecięca pamięć zachowała. Mogłem mieć wtedy trochę więcej nad dwa lata, ponieważ to się podobno działo w późnej jesieni lub zimie 1832 r., a ja się rodziłem 2 września 1829 r. w domu pana łowczego Chołoniewskiego na dole po prawej ręce od wchodu. Niewdzięczni lwowianie nie kupili i nie ofiarowali mi tego domu, a obecny właściciel, pan Alfred Młocki, nie wiedząc może, co posiada, sprzedał go rządowi, skutkiem czego wkrótce rozebranym zostanie. Nikt nie jest prorokiem między swymi. Gdy między 3-cią a 4-tą

na świat przyszedłem, dano znać o tym szczęśliwym wypadku mojemu stryjowi Henrykowi, który był właśnie na pierwszem piętrze przy wielkim obiedzie u pana łowczego. Obecni *stante pede* wypili zdrowie mojej matki i moje, czemu znowu zawdzięczam wyraźny gust do wytwornych obiadów i do win wszelkiego rodzaju, ponieważ mi wtedy nie powiedziano, jakiem właściwie nasze zdrowie wypito, a może i pod koniec obiadu niektórzy i gatunki mieszali.

Bądź co bądź, czuję pewne wyrzuty sumienia względem was, moi państwo, za zrobiony wam zawód, dając wam na samym wstępie zamiast historyjki, dosyć niewyraźny obrazek. Zato opiszę wam szczególny objaw mojej wyobraźni, zresztą aż nadto bogatej, jak się to z późniejszego toku moich wspomnień okaże, a który pod pewnym względem wskazywałby na jej nadzwyczajne ubóstwo. Tym objawem jest to, że pomimo, że zwiedziłem większą część Europy, że mi główne stolice i królewskie pałace są znane, że nawet w galerjach obrazów niebo przez wielkich mistrzów malowane widziałem, skoro wezmę książkę do ręki, bądź powieść, bądź poważną historję, bądź nawet dzieło, w którem jest mowa o niebie, w mojej wyobraźni rzecz nigdy nie dzieje się w miejscowościach przez autora opisanych, ale zawsze w starym domu w Beńkowej Wiszni, albo w apartamencie ś. p. pani konsyljarzowej Bobowskiej na drugim piętrze kamienicy naprzeciw lwowskiej katedry, tam, gdzie dziś jest pracownia krawców, panów Kropijowskiego i Matlasa. Tak więc czyto Bóg Ojciec, czy Juljusz Cezar, Karol Wielki czy Bolesław Chrobry, Ludwik XV czy Jan Sobieski, Richelieu, Buckingham, Zamoyski, jednem słowem, każdy bohater dzieła, które czytam, siedzi zawsze w gabineciku przy wielkim biurze, którego tam, *n. b.* nigdy nie było, albo w sypialnym pokoju pani Bobowskiej, audjencyj udziela

w bawialnym pokoju *empire*, albo w salonie p. Bobowskiej; ministrowie, dygnitarze, jenerałowie i t. d., wszyscy czekają w żółtym jadalnym pokoju, oraz w przedpokoju p. Bobowskiej. Stary zaś Louvre, w którym tyle razy byłem, o którym mogę powiedzieć, że go znam doskonale, zawsze stoi na miejscu katedry lwowskiej naprzeciwko okien p. Bobowskiej, albo czasem nowy beńko-wiszeński dom przemienia się w Louvre, ale częściej w Fontainebleau lub Wersal. Dlaczego tak jest, nie wiem. Jeżeli te pamiętniki wpadną w ręce psychologa, zostawiam mu tę zagadkę do rozwiązania w chwili, gdy się położy do łóżka. Jeżeli cierpi na bezsenność, pewnie nad nią zaśnie — ja tymczasem wracam do Beńkowej Wiszni.

Pamiętam, jak razu jednego niania posadziła mnie na stole pod oknem gabineciku, skąd patrzałem na wyjeżdżającego z domu ojca. Miał na sobie krótki, zielony surdut i siedział na białym koniu. Na rogu oficyny, stojącej naprzeciwko starego domu, koń ojca dęba stanął, ale on spiął go ostrogami i galopem wyjechał z dziedzińca, co wielkie zachwycenie we mnie wzbudziło. Innym razem bawiłem się w ogrodzie za stajnią, której dziś i śladu niema, gdzieś niedaleko podwójnej, przepysznej lipy, dotąd stojącej[1] przed wschodnią facjatą nowego domu. Wtem wyjechał ze starej lipowej ulicy, prowadzącej do folwarku, ojciec na Krepce. Krepka była to niewielka orjentalna klacz kasztanowata, faworyta mego ojca, którą darował stryjowi Henrykowi, gdy tenże szedł na wojnę 1830 r. Po odbytej kampanji Krepka, zawsze okrągła i wesoła, wróciła do Beńkowej Wiszni. Otóż tego pamiętnego dnia, ojciec kazał przynieść skórzaną poduszkę, położył ją przed sobą na siodle i mnie na niej posadził. Tak ob-

[1] Dziś i tej lipy już niema (*p. w.*).

jechaliśmy parę razy stępo, ba nawet galopkiem wokoło gazonu, a ja, siedząc fizycznie na Krepce, duszą i sercem w siódmem znajdowałem się niebie.

Lecz cóż was te wspomnienia o białym koniu, który się wspinał, o Krepci, która tak pięknie galopowała, obchodzić mogą? Dla mnie jednego mają one urok, bo to tak blisko, a jednak tak bardzo, bardzo daleko! Nie będę was więc przy nich zatrzymywał; wolę wam tutaj dać portret moich rodziców, jakimi wtedy byli, bo tylko niektórzy z was znali ich już tylko starcami, a z tych, którzy ich w owych czasach zapamiętać mogą, niewielu już żyje.

Mój ojciec mógł mieć wtedy około lat czterdziestu, był wzrostu nad średni, ni młodzieńczo szczupły, ni otyły. Włosy, które za młodu miał rude, znacznie mu ściemniały i były koloru dzikiego kasztana; oczy ciemno-piwne; nosił małe, krótko ostrzyżone wąsy. Później mi opowiadał, że po 1815 r. wąsy nie były w modzie, eleganci ich wcale nie nosili, a tylko niektórzy dawni oficerowie, i to tylko z kawalerji, pozwalali sobie bardzo maleńkie; zato eleganci *mauvais genre* nosili wielkie wąsy, nadając sobie tem pewną wojskową, zuchowatą minę. Z tego powodu ojciec raz powiedział: „Nie każdy, co ma wąsy dureń, ale każdy dureń ma wąsy".

Moja matka w swojej młodości sławną była pięknością. Ja miałem być bardzo do niej podobny; to mnie dziwi, bo gdyby to ode mnie zależało, byłbym się pewnie zupełnie innym obstalował. Tylko z jednego wzrostu jestem zadowolony i ten byłbym zachował. Wtedy miała około lat 35, i po jej regularnych rysach sądząc, musiała być jeszcze piękną; ale o ile ojca doskonale pamiętam, o tyle obraz matki z tych czasów w pamięci nieco zamglony; wiem tylko, że płeć miała bardzo białą i blond loki; wzrostu była także nad średni.

Nie myślę tu dawać życiorysu mojego ojca, zwłaszcza z lat, w których ze starszymi braćmi, Maksymiljanem i Sewerynem, odbywał kampanje napoleońskie, bo musiałbym tylko powtórzyć co już w kilku jego życiorysach było powiedzianem i co sam najlepiej w swoich pamiętnikach opisał; lecz będę się starał dać jak najwięcej szczegółów o jego życiu od chwili powrotu do kraju, które z jego własnego lub mojej matki opowiadania są mi znane, albo które sam zapamiętałem.

Po abdykacji cesarza Napoleona, w 1814 r., gdy wojsko polskie oddanem zostało pod protektorat cesarza Aleksandra, mój stryj Maksymiljan, najstarszy z braci, pozostał w służbie w randze pułkownika i wkrótce został jenerał-fligel-adjutantem cesarza. Stryj zaś Seweryn i mój ojciec w uczuciu fanatycznego przywiązania do Napoleona, zawiedzeni przytem w najdroższych swoich nadziejach jako Polacy, wzięli dymisje. Stryj Seweryn, były szef szwadronu słynnego pułku szwoleżerów gwardji, co w linji odpowiadało randze pułkownika, do śmierci zachował swój fanatyzm względem pamięci Napoleona. Mój ojciec, o ile wysoko cenił nieśmiertelną sławę, nabytą przez wojsko polskie pod takim wodzem, ostygł zczasem w fanatyzmie do jego osoby, gdy mu zimne zastanowienie i historja Napoleona postępowanie względem Polaków odsłoniły.

Wróciwszy do kraju, mój ojciec osiadł w Jatwięgach, małej wiosce w sąsiedztwie Beńkowej Wiszni, położonej w uroczej okolicy wśród lasów na rzeką Wisznią. Stryj Seweryn zamieszkał w Beńkowej Wiszni, skąd dopiero po swojem ożenieniu się z Domicelą hrabianką Konarską do sąsiednich Nowosiółek się przeniósł. Wtedy to ojciec sprowadził się do Beńkowej Wiszni, jako administrator mego dziada, pana Jacka Fredry. Nieraz mi mówił, że w latach od 1814 mniej więcej do 1828 cała jego intrata

Jatwięgi.

Akwarela J. Swobody. Własność Leona hr. Szeptyckiego.

z Jatwięg wynosiła sześćset złr. wal. wied., a przybytkiem dochodu, którym jako młody człowiek opędzał kilka karnawałowych tygodni we Lwowie, była sprzedaż skórek z ubitych w jesieni lisów.

Lwów posiadał wówczas liczne i doborowe towarzystwo. Tak dużo było domów, w których przyjmowano, że często bywało po trzy bale jednego wieczoru. Młodzież musiała się dzielić na trzy grupy, przenoszące się z jednego balu na drugi. Między tą młodzieżą rej wodzili oczywiście oficerowie z armji napoleońskiej, po największej części ozdobieni krzyżem polskim *virtuti militari* albo krzyżem legji honorowej, często obydwoma. Najstarsi pośród nich mogli mieć zaledwie lat trzydzieści. Wszyscy z dobrych polskich domów, łączyli do wytwornego wychowania świeżo nabyte wawrzyny, to też Lwów jeszcze nigdy takiej młodzieży nie widział i prawdopodobnie widzieć już nie będzie. Przytoczę tu kilka nazwisk: pułkownicy Józef i Ignacy Szumlańscy, Stadnicki Aleksander, dwóch Drohojowskich, Jan i Seweryn, Władysław Tchorznicki, o którym mi wiele do mówienia pozostanie, gdyż w kampanji węgierskiej 1848 i 1849 r. był moim pułkownikiem, dalej mój stryj Seweryn, mój ojciec, Józef Gorayski, Feliks Bochdan, Feliks Boznański i wielu innych, których nazwiska mi w tej chwili na myśl nie przychodzą. W późniejszych latach nieraz pokazywał mi ojciec domy, w których w owych czasach najpierwsze mieściły się apartamenta, gdzie najwięcej przyjmowano, gdzie się najlepiej bawiono. Dziś te domy nikną powoli, jak wkrótce zniknie dom łowczego Chołoniewskiego, a stojące teraz do najlichszych we Lwowie należą. I tak np. mój dziad mieszkał w 1807 i 1808 r. w kamienicy Judki na rogu Sykstuskiej ulicy od strony wałów; dopiero w 1809 r. przeniósł się do kamienicy Bauera, później Christianiego, naprzeciw ogrodu oo. bernardynów.

Ileż to wspomnień dla naszej rodziny nie mieści się w tej dużej kamienicy. Tam mieszkał mój dziad z młodszymi synami, moim ojcem, Henrykiem, Juljanem i Edwardem, podczas gdy starsi, Maksymiljan i Seweryn już od 1807 r. byli na wojnie; przy nim bawiła najstarsza córka Ludwika (druga, Konstancja, już była zamężną za Wincentym Skrzyńskim z Bachórza) Rozwadowska, wdowa z synkiem Władysławem, późniejszym adjutantem jenerała Skrzyneckiego, i z młodszą siostrą Cecylją, która stamtąd wyszła za mąż za brata mojej matki, Leona Jabłonowskiego. Stamtąd wyjechał w 1809 r. mój ojciec do Nienadowej, skąd już wprost udał się do wojska polskiego do Sandomierza, gdzie się pod dowództwo księcia Józefa zaciągnął; tam też wrócił z niewoli rosyjskiej po 1812 r. Tam mój dziad zakończył życie 7 lutego 1828 r. Tam później mieszkali moi rodzice od r. 1838 do r. 1845.

Muszę tu opisać powrót mego ojca z niewoli, ponieważ on w swoich pamiętnikach robi tylko wzmiankę o swojem spotkaniu z dawnym przyjacielem, Ignacym Konarskim, na moście w Przemyślu. Opowiadanie to słyszaszem z ust samego pana Ignacego i dosłownie je tu powtórzę. Jak wiadomo z pamiętników, ojciec wyszedłszy z tyfusu, uciekł z lazaretu wileńskiego, przebrany za chłopa i piechotą przyszedł aż do Przemyśla. Tam spotkał na moście Konarskiego i zastąpił mu drogę. Konarski chce wyminąć w prawo, on w prawo, chce wyminąć w lewo, on w lewo. Źle! Wyraźnie jakiś chłop pijany szuka zaczepki; jednak jeszcze raz próbuje przejść obok niego, chłop uporczywie staje przed nim... Coraz gorzej. Aż wreszcie chłop się odzywa: „Cóż to, nie poznajesz Rudzia?“ — i w tej chwili byli w objęciu jeden drugiego. Tego samego dnia wyjechali razem do Lwowa. Niemałe to wzbudziło zajęcie, oraz ciekawość, gdy nazajutrz około

drugiej z południa, Konarski wjechał do Lwowa czwórką, eleganckim otwartym koczem, w którym siedząc obok chłopa, najprzyjaźniej z nim rozmawiał. Zajechawszy do kamienicy Bauera, zastali dziada otoczonego rodziną przy obiedzie. Pierwszy wszedł Konarski i rzekł do dziada, odsłaniając za nim idącego ojca: „Przywożę jegomości kogoś, którego mu przyjemnie będzie u siebie widzieć". Mój dziad i wszyscy obecni w niemem zadziwieniu wpatrzyli się w tego chłopa, lecz nikt go nie poznał, aż młody Juljan raptem krzyknął: „To Oleś!" Wtedy wszyscy razem ku niemu się rzucili, on zaś padł do nóg ojca, który jednak w pierwszych chwilach tak był wzruszony, że prawie przytomność stracił i słowa wymówić nie mógł.

Zbierając pamiątki przywiązane do kamienicy Bauera, nie mogę nie wspomnieć o czynach najmłodszego z braci, Edwarda, których ona od świtu do nocy, od strychu do piwnicy była widownią, a które mój ojciec w zagubionym niestety wierszu, pod tytułem: *Lampartiada*, opisał.

Ponieważ wiersz ten, będący bezwątpienia najdawniejszym z zachowanych utworów wielkiego komedjo-pisarza, a jako taki bardzo ciekawym zabytkiem, odnalazł się przy porządkowaniu bibljoteki wnuka Aleksandra, Andrzeja hr. Fredry, przeto przerywając tok „Wspomnień" umieszczamy go tu w całości, zachowując pisownię oryginału. Wiersz ten był napisany w r. 1809, a więc kiedy autor miał lat szesnaście.

LAMPARTIADA.

Już słońce wzbiegłszy z za piaszczystey góry
Rzucało światło między lwowskie mury,
Gdy Edward hufce swoie
Szykuje na krwawe boie,

Znany z Lamparterskiey sławy
Z pogodną twarzą wyglądał rozprawy.
Piłkę trzyma ręka lewa,
Linia się chwieie w prawicy
Z czarno-błyszczącego drzewa,
Sam strzeże drugie piętro kamienicy.
Za nim bronią pierwsze schody
Rycerze znani z męztwa i urody:
Józio i Franek, mąż w siłę bogaty,
Chodak i Czopek pękaty.
Prawem zaś skrzydłem Kaszubek dowodzi;
Lewe pod rozkaz Grzędziela zachodzi.
Z przeciwney strony iuż czekaią znaku
Germanów szyki, by iść do attaku.
Bauer idzie na ich przedzie.
Za nim Harniszer dzielne hufce wiedzie.
Potem Karol z Kaietanem,
Daley Romuald z Wildfanem;
Adolf wzywaiąc zwycięstwa lub zguby
Poprzedza Maka przebiegłego w czuby.
Wtem krzyk przeraża dom cały.
Ztarł się iuż z Niemcem Sarmata zuchwały,
Świstaią piłki, linie się krzyżuią
I okropny bóy rokuią.
Eduard piłkę obraca i ciska:
Koło Karola odbiwszy się zbliska
W nogę Wildfana uderza —
Runął i schody harcapem przemierza.
Romuald Józia ranił linią w głowę;
Franek Karola chwyciwszy w połowę
Wyciął o piasek tak potężnym razem,
Że wzrok i mowę odiął mu zarazem.
Harniszer z Baurem gwałtem się wdziera,
Jeden Kaszubek z oboma się zciera
Eduard dzielnie machaiąc na przodzie.
Adolfa skropił na drugim schodzie,
Romualdowi zaś nogę podstawił,
Harniszera w dół kuksem wyprawił.
Czopek uchwycił Baura po za uszy,
Lecz mało nie zgubił duszy

Dostawszy w pępek kułakiem.
Wzięli się za łby Kaietan z Chodakiem
I w chwilę, gdyby nie Kaszubka męstwo,
Przy Kaietanie byłoby zwycięstwo;
Bo cóż się jego sile oprzeć zdoła?
Już pobił Niemców do koła,
Już zmieszał nieprzyjaciela,
Gdy Mak wpadł na Grzędziela,
Za nos go złapał, ten go za kędziory.
Wtem, wiodąc uparte spory,
Potknął się Grzędziel i upada cały!
A na ten widok Niemcy ożyć zdały.
Powtórnie mężnie dobywaią schody,
Krzycząc: Niech giną Sarmackie narody!
Naprawił wkrótce ten przypadek mały
Eduard, staiąc sam ieden zuchwały,
Gdzie się cisnęły zajadłe Germany —
Zatrzymał się z nich każdy pomieszany.
A ieśli naprzód wyszedł iaki taki,
Wracał się zbity mocnemi kułaki —
Nareszcie Maka za kołnierz porywa,
Rzuca na Niemców i swoich wzywa —
By za nim natarli śmiele;
Lecz przestraszeni iuż nieprzyiaciele
Uniknęli zgon swój bliski,
Okryci z tyłu srogimi pociski.
Tak się skończyło Lampartów spotkanie.
Nie stanęłoby to pewna w tym stanie,
Gdyby nie godzina czwarta
Przypominała, że szkoła otwarta.

Oto najdawniejszy wiersz Aleksandra Fredry z lat jeszcze młodzieńczych. Wróćmy do „Wspomnień".

Swawolny Edwardek był istną plagą boską dla wszystkich lokatorów, psów, kotów, szczurów na dziedzińcu, gołębi i wróbli na dachu, a szczególnie dla Niemców. Ulubionemi jego figlami było łapanie na wędkę ich kapeluszy

i peruk, strzelanie do nich suszonemi gałkami z ciasta z drewnianej rurki, tak zwanej *sarbacanne*. Do tak wielkiej w tem strzelaniu doprowadził doskonałości, że gdy oddział wojska popod okna *tambour battant* przechodził, on z poza żaluzyj umiał puścić gałkę w samą gębę dowodzącego w chwili, gdy komenderował, skutkiem czego się oczywiście zakrztusił. Jeszcze bardziej go cieszyło, gdy dostrzegł na ulicy dwóch rozmawiających Niemców. Zaledwie wymówili sakramentalne: *Ja, ja..., so, so...* pac! już jednego z nich palnął gałeczką w nos albo w czoło, z czego nieraz powstawały kłótnie. Wielka stąd radość! Długo mu się to bezkarnie udawało, aż gdy jednego razu starego tłustego Niemca w sam czerwony nos ugodził, ten oglądnął się, spojrzał wgórę po oknach, podniósł gałkę i wszedł do kamienicy. Strach! Co tu robić? Darmo! Niema ratunku, trzeba przyznać się guwernerowi i prosić o jego interwencję. Poczciwy guwerner podjął się dyplomatycznej negocjacji, a tymczasem zdekoncertowany Edwardek, łącząc odwagę z roztropnością, cofnął się w zacisze garderoby. W samej rzeczy trudna była sprawa. Niemiec chciał koniecznie iść skarżyć się mojemu dziadziowi, ale go wreszcie widok ofiarowanych mu przez guwernera dwóch złr. w. wied. zmiękczył i odstąpił od skargi. Schowawszy dwa reńskie do kieszeni, zażądał widzieć młodego strzelca, a gdy guwerner delikwenta między spódnicami garderobianek odszukał i z djablo rzadką mina przed Niemca przyprowadził, ten, odkrząknąwszy, w tych słowach się do niego odezwał: „Mój młody paniczu, jesteś młodym i ja nim byłem. Lubisz strzelać do przechodniów z sarbakanny, i ja to lubiłem; muszę cię więc nauczyć, że nie trzeba nigdy jej końca wystawiać przez żaluzje, bo niezawsze ma się czas ją cofnąć i można być spostrzeżonym, jak ci się to właśnie zdarzyło. Dalej radzę ci używać za-

miast gałek z ciasta, świeżej jarzębiny lub jakichbądź czerwonych jagód; świeże pestki z czereśni szczególnie ci polecam, zostawiają ślad niby krwi, co okropnie przestrasza trafionego i daleko zabawniejsze. A teraz, *kaszamsterdiner (gehorsamster Diener)*" — ukłonił się i poszedł.

W tej kamienicy wydarzył się później dosyć zabawny a jednak dla jednego z moich młodszych stryjów mniej przyjemny wypadek. Gdy już dorosłymi byli młodymi ludźmi, mieszkali na dole. Pewnego ranka, gdy jeszcze wszyscy spali, jakiś pauper czyli młody urwisz wśliznął się do przedpokoju i jednego z nich buty ukradł. Jeszcze nie wyszedł na ulicę, już go stary służący chwycił za czuprynę i nazad wciągnął do przedpokoju. Tam rzekł do niego: „Połóż się, dam ci w skórę". (Znać podzielał moje zasady.) — Chłopiec, trzymając jeszcze buty w ręku, zaczął się prosić. — „Ja ci powiadam, połóż się". — Chłopiec w płacz. — „Zaraz mi się połóż". — Chłopiec coraz mocniej płacze, aż zawodzi. — „Co? Nie chcesz się położyć, to idź do stu djabłów" i wytrącił go za drzwi... z butami. Tyle go też i widział.

Mój ojciec, jak to już wyżej powiedziałem, przepędzał we Lwowie tylko kilka zimowych tygodni. Ile, to już od ilości lisich skórek zależało; resztę roku siedział w Jatwięgach, gdzie zaczął pisać swoje komedje. Wiele lat później, gdy raz przejeżdżaliśmy przez Jatwięgi, on na dzielnym gniadym koniu, ja na kucu, pokazywał mi sosnę, pod którą leżąc napisał pierwszą scenę komedji: *Mąż i żona*. Dziś już tej sosny nie widzę; czy ją burza powaliła, czy siekiera ścięła, nie wiem; dosyć, że wróciwszy do kraju po dziewięcioletniej emigracji, już jej nie zastałem. Wznosiła się ona nad Jatwięgami od strony lasu, zwanego Bezarabiną.

Gdy już trochę pisać zacząłem, ojciec, który wogóle nie lubił mówić o swem autorstwie, wrócił do tego wspom-

Aleksander Fredro i Jan Aleksander Fredro (rysunek J. Al. Fredry).

nienia i sam się dziwił, że tę komedję, którą do najlepszych można policzyć, zaczął bez planu i już miał kilka scen napisanych, gdy właściwego węzła sztuki, ani jej rozwiązania jeszcze nie był znalazł. W istocie jest to rzadki, może w swoim rodzaju jedyny wypadek, by autor dobrą komedję napisał, nie mając przy zaczęciu w myśli przynajmniej ogólnych jej zarysów.

Gospodarstwo w Jatwięgach jest małe z tej prostej przyczyny, że sama wieś jest małą — (wolałbym, żeby była wielką, chociaż gospodarstwa nie lubię, i mój ojciec zapewne to zdanie podzielał) — jednak trudno było temu zaradzić. Ojciec dzielił zatem swój czas na zajęcie się tem małem gospodarstwem, polowanie i piśmiennictwo. Jego nieodstępnymi prawie towarzyszami byli Dominik Netrebski i Kazimierz Jabłonowski, brat mojej matki, o którym w przyszłym rozdziale będę miał sposobność mówienia, opisując sąsiedztwo Beńkowej Wiszni. Z tej to epoki datują się wiersze ojca: *Do Dominika*, *do Kazimierza Jabłonowskiego*, *do Jędrzeja*. Jędrzej Czerwiński był to ojca służący, który z nim odbywał kampanje po rok 1812. Podczas pożaru Moskwy poszedł na rabunek i zdobył szczotkę, trzy pończochy i kilka grzebieni, przyczem o mało w płomieniach nie zginął. Gdy się go ojciec zapytał, poco tam chodził, odrzekł, pokazując wojenną zdobycz: „To się psida, prosię pana kapitana; piękna ściotećka, ponciośki, to się psida“. Trzeba wiedzieć, że Jędrzej trochę szeplenił. Jednak nie „psidały“ mu się te rzeczy, bo w nieszczęsnym odwrocie armji został ranny, w niewolę wzięty, i gdzieś aż za Kaukaz zapędzony. Proszę z tego nie wnosić, by Jędrzej był bohaterem, bynajmniej; nie miał nawet najmniejszej do tego pretensji; nie w otwartym bowiem boju został on raniony i wzięty, ale wśród napadu kozaków na oddział ciurów. Dwóch kozaków

pchnęło równocześnie w obie łopatki uciekającego, zsadzili go z konia i jak barana zabrali. Ileż to razy, gdy byłem malcem, ale do wojny zawsze ciekawym, nie musiał poczciwy Jędrzej, kładąc mnie do łóżka, albo rano ubierając, opowiadać ten smutny epizod swego życia. Co go więcej, niżeli rany bolało, było wspomnienie dwóch garnków z ugotowaną kaszą, które miał przytroczone do siodła, a które mu kozacy zabrali i niedyskretni zjedli! Nie mógł im tego nigdy zapomnieć. Biedny Jędrzej w 1812 r. został w niewoli; zastąpił go przy ojcu Onufry („Pizańska wieża")[1] i tak samo, jak jego poprzednik gdzieś pod Moskwą, tak on pod Lipskiem gotował kaszę. Znać wszyscy ciury jednacy. W r. 1849, mój Firpek, Czech z rodu, miał zawsze w czerwonej, kraciastej chustce gęś nieprawnym sposobem nabytą i Bóg wie gdzie i kiedy upieczoną; ale o tem potem.

W 1824 r., mój stryj Maksymiljan, powziąwszy zamiar ożenienia mego ojca z panną Elżbietą Buturlin, zawezwał go do Florencji, gdzie z żoną i dziećmi zimował. Nie wiem, z jakich powodów to małżeństwo nie przyszło do skutku. Mój ojciec wyjechał do Rzymu, a stamtąd do Neapolu, lecz w drodze napadnięty nie od brygantów, ale *spleenem*, czyli po polsku mówiąc, będąc w złym humorze, kazał nawrócić pocztyljonowi i wrócił wprost do Beńkowej Wiszni.

Odtąd zamieszkał tam stale, zarządzając tym majątkiem dla mego dziada. Jednostajne życie gospodarza na wsi nie zawiera w sobie wiele zdarzeń, godnych wzmianki w pamiętnikach; mało mi więc zostaje do opowiadania o kawalerskiem życiu ojca w latach od r. 1824 do 1828. Najwięcej wtedy pisał, lecz nie zajmował się wcale przed-

[1] Por. *Trzy po trzy* (p. w.).

stawieniem swoich komedyj. Na próbach albo na przedstawieniach rzadko, albo wcale nie bywał, posuwając tę obojętność do tego stopnia, że między jego komedjami są takie, których wcale na scenie nie widział. Opowiadał mi, że czytał *Pana Jowialskiego* bratu Sewerynowi i kilku przyjaciołom, lecz audytorjum zostało dosyć zimne. „Wkrótce potem“ — mówił — „byłem we Lwowie, gdy grano *Pana Jowialskiego*. Wzięliśmy we trzech lożę na drugiem piętrze, lecz przedstawienie szło tak powoli i koszlawo, aktorowie tak ról nie umieli, tak niegodziwie grali, że doznawałem uczucia, jakgdyby mi kto kiszki szkłem piłował, i zdawało mi się, że publiczność to uczucie podziela. Nie mogąc dłużej wytrzymać, wśród drugiego aktu wyszedłem z loży, drzwi zatrzasnąłem i uciekłem do domu“. W parę lat później *Pan Jowialski* miał daleko świetniejsze powodzenie. Tym razem moja matka, jako żona autora, była na pierwszem piętrze. Bawi się doskonale, publiczność toż samo, wtem coś do loży z góry kapie... Jakaś pani, siedząca w loży nad moją matką, zanadto się śmiała.

„Podczas tych zim na wsi spędzonych“ — powiadał ojciec — „dzień jako tako mijał, chociaż przy gospodarstwie niewiele było do czynienia, ale polowałem, czytałem, pisałem; ale te długie wieczory z powodu samotności, nawet przy zatrudnieniu, były okropne. Dlatego przeniosłem się z domu do oficyny, ażeby mnie przynajmniej z piekarni szmer ludzkiego głosu czasem dochodził“.

W tej to oficynie zdarzył się wypadek, który opowiem, bo sam przez się zajmujący, a nadto zawiera w sobie sens moralny. Lecz trzeba naprzód wiedzieć, że sionka tej oficyny dosyć jest wąską. Otóż mój ojciec wypuścił gorzelnię w Beńkowej Wiszni pewnemu Żydowi z Rudek.

Dziad przestrzegał ojca, żeby nie pozwolił Żydowi wyprowadzić wołów ze stajni, póki ostatniej raty nie zapłaci, bo one stanowiły kaucję. Tymczasem jak Żyd zaczął ojca prosić, błagać, obiecywać, że skoro woły w Ołomuńcu przeda, najsumienniej co do grosza wszystko zapłaci, ojciec wreszcie uwierzył i pozwolił woły wyprowadzić. Jak dziad przewidział, tak się stało: Żyd woły sprzedał, ale raty nie zapłacił i nie było na czem poszukiwać straty. Mój ojciec zaciął zęby, ale sobie to na wąs namotał i czekał sposobności rozmówienia się z Żydem. Pewnego pięknego poranku, właśnie gdy pisał sonet czy odę, patrzy przez okno: idzie jego Żyd, ale w towarzystwie dwóch innych, największych *moremorejne* z Rudek, których sobie wziął niby asekurację. Mój ojciec dał im wejść do sionki, potem wyszedł do nich z doskonałym kijem laskowym w ręku i dalejże młócić swego Żyda. Co tam padło, to padło, a padło djablo wiele, ale dwaj *moremorejny* stojący w asekuracji przylepili się do ściany, robiąc się, ile możności, płaskimi, a za każdem machnięciem kijem, obracali głowy w przeciwną stronę to w prawo to w lewo jak wahadła dwóch równo idących zegarów. Wróciwszy po tej niefortunnej wyprawie do Rudek, długi czas o ojcu mówili: *Ein giter, aber feuriger Purez.* Sens moralny: Żydzi jak wtedy, tak i dzisiaj okpiwają szlachtę, ale dzięki postępowi, teraz za swoją krzywdę i stratę bić ich nie wolno, a wybijesz, pójdziesz do kozy; powiesz złodziejowi, że złodziej, zrobi ci proces o obrazę honoru, i jeszcze będziesz musiał mu zapłacić. Niech żyje postęp! Wiwat cywilizacja!

W 1828 r. mój ojciec dostał pierwszego ataku podagry równocześnie z moim dziadem. Zaledwie mógł wstać, pojechał do Lwowa go odwiedzić. Gdy wszedł, jeszcze trochę kulejąc, do pokoju, gdzie mój dziad leżał, ten,

który słowa nie mówił po niemiecku, uśmiechnął się i rzekł, wyciągając rękę: *Wie geht's, Herr Collega.* Wkrótce potem został paraliżem tknięty i w parę dni życie zakończył. Tego samego roku mój ojciec ożenił się z moją matką. Ślub odbył się w Korczynie, majętności mojej matki.

ROZDZIAŁ II.

Gdy w 1860 r. Kornel Ujejski czepił się, Bóg wie, a raczej djabli wiedzą dlaczego, pism i osoby zacnego Wincentego Pola, który kochał Polskę, a nie siebie w Polsce mówiąc nawiasem, obywatele obwodów gródeckiego i samborskiego, chcąc złożyć Polowi hołd swej czci i uszanowania, dali dla niego wielki bankiet w Lubieniu, gdzie natenczas bawił. Po obiedzie Pol, zapaliwszy cygaro, zaczął mówić, nie jakby z katedry, ale w formie prostej pogadanki. Przeszedł wszystkie wsie okoliczne, podnosząc i ubarwiając swem opowiadaniem tak wdzięcznem i harmonijnem, jak jego pieśni o ziemi naszej, wszystko, czem się te miejscowości od najdawniejszych czasów odznaczały. O każdej umiał coś zajmującego, nieraz nawet szczytnego powiedzieć, wspominając bądź ludzi, którzy je zamieszkiwali, bądź wypadki, których były widownią. Obiecał mi wtedy dać to opowiadanie na piśmie i powtarzał obietnicę, ile razy go później we Lwowie, a pod koniec życia w Krakowie widziałem. Niestety, ociemniał i pomimo, że jeszcze niekiedy ostatnie swoje utwory dyktował, nie dotrzymał danego słowa. Jeżeli przez to miłą straciłem pamiątkę, nierównie większą szkodę ponieśliście wy, łaskawi czytelnicy, ponieważ byłbym to opowiadanie w całości tu umieścił; tymczasem po dziewiętnastu latach wiele

szczegółów zatarło się w mojej pamięci, a to, co powtórzę, nie będzie miało wdzięku opowiadania Pola.

W ciągu lat dwudziestu, t. j. mniej więcej od 1818 do 1838 r. dom mego stryja Seweryna w Nowosiółkach był niezaprzeczenie pierwszym w okolicy. Równie on, jak ona lubili przyjmować, a chociaż sam niewiele się troszczył bawieniem gości, może właśnie dlatego, ludzie, czując, że ich obecność jest przyjemną, garnęli się do niego. W 1818 r. miał lat dwadzieścia dziewięć, był bardzo wysoki, barczysty i sławnie piękny pięknością prawdziwie męską, lecz już wtedy miał skłonność do utycia. Ja go już innym nie pamiętam, jak bardzo grubym. O jego studenckich czasach wspomina mój ojciec w swoich pamiętnikach, z lat zaś spędzonych w wojsku przytaczam tu dosłownie co o nim pisze jenerał Józef Załuski w swojem dziele: *Wspomnienia o pułku lekkokonnym polskim gwardji cesarza Napoleona I.*

„To, co szanowny Wójcicki mówi, że „pierwszy szereg łamał kopjami, a drugi wycinał szablą“... ten sposób uzbrojenia przyjęła gwardja polska Napoleona, jak się wyżej powiedziało, a że dobrze naśladowany, dowiódł między innymi szef szwadronu, Seweryn Fredro, nacierając pod Peterswalde w r. 1813, w dwieście koni na pułk huzarów pruskich o pięciu szwadronach, rozbiwszy ten cały regiment i wziąwszy w niewolę samego dowódcę, syna feldmarszałka Blüchera. Okazał tam prawnuk, że miał w pamięci słowo Maksymiljana Fredry, „że póki kopji stanie, będzie Polak panem w polu“. Nie twierdzę tego, bo nie pamiętam dobrze, ale mi się zdaje, że Fredro uchwycił własnoręcznie pułkownika Blüchera i przywiódł go do brygady Wojciechowskiego“.

W samej rzeczy mój stryj własną ręką wziął pułkownika Blüchera. Do jego śmierci widywałem tegoż pałasz

wiszący nad łóżkiem stryja, obok tureckiego pałasza, który sobie oficerowie gwardji czasami poza służbą pozwalali nosić. W 1847 r. t. j. we dwa lata po śmierci stryja, mając wtedy sam lat siedmnaście, prosiłem stryjenki o ten pałasz. Chętnie mi go darowała dziękując jeszcze za to, że pamięć stryja jest mi drogą; niestety, ani pałasza Blüchera, ani tureckiego między rzeczami stryja odszukać nie mogłem. Jego służący mówił, że z tureckim pałaszem przy boku jest pochowany, co także było nieprawdą. Przekonałem się o tem wiele lat później, gdy kazałem naprawiać trumny o odbitych wiekach w grobach familijnych pod kościołem w Rudkach.

Kto skradł pałasz Blüchera, czyja świętokradzka ręka odbiła wieko trumny, nie wiem, ale niech mu Bóg tego nie pamięta.

Jenerał Załuski przytacza na str. 40—41, następującą anegdotkę, dotyczącą siły mego stryja:

„Seweryn Fredro, oficer, później szef szwadronu, był także niepospolitej siły, zręczności i lekkości, a każdego konia przeskakiwał z największą łatwością, przytem był postaci wspaniałej i mało kto, albo raczej nikt, nie mógł się odważyć iść z nim w zapasy na siłę. Gdy dowodził szwadronem strzelców konnych gwardji francuskiej i polskim przy boku króla neapolitańskiego pod Połockiem, gdzie Napoleon był się z Wilna obiecał, ale w inny kierunek się udał, oficerowie francuscy obiadując u stołu szefa Fredry, według możności i miejsca, ganili chleb żytni razowy litewski, jakiego nam obywatele z gościnności do obozu dostarczyli, i twierdzili ci oficerowie, że chleb żytni sprawia w żołądku kwasy, że pszenny jest o wiele zdrowszy, że oni wychowali się na pszennem pieczywie — a byli to oficerowie nie z markizów i vicomtów, ale z prostych guidów Bonapartego awansowani, okazałych

postaci, jak to mówią: chłop w chłopa. Znudzony Fredro tem kazaniem cudzoziemskiem, ozwał się z wrodzoną sobie żywością: „No, moi panowie! kiedyście wychowani na białym chlebie pszennym, to ja wam powiadam, żem się wychował na żytnim, a jak mnie widzicie, nie jestem ułomek... więc spróbujmy się, kto z nas mocniejszy? a który chleb daje więcej siły?“ Francuzi, znając olbrzymią siłę pułkownika i poważną jego postać, przy której schodzili na miarę zwyczajną, ustąpili z uśmiechem i przyznali bez próby, że i chleb żytni może tak dobrze, i lepiej nawet, wychować jak pszenny“.

Dzieckiem będąc, widziałem na własne oczy próbkę tej nadzwyczajnej siły. Było to w Beńkowej Wiszni, gdzie stary i nowy dom stoją prawie nad samym brzegiem dosyć stromej góry nad stawem. Razu jednego, czyto z powodu imienin czy urodzin, był wielki, tak zwany, festyn wiejski, a zatem i liczny zjazd gości. Mój stryj, którego apetyt odpowiadał sile, stanął sobie po obiedzie na samym szczycie góry, rozparty jak kolos rodyjski, i (mamże to przyznać) trochę sapiąc używał świeżego powietrza. Widząc tę nieruchomą postać, mój wuj Kazimierz Jabłonowski, także gruby i silny, namówił naszego krewnego, młodego, smukłego Konstantego Ruckiego, ztyłu podejść stryja Seweryna i znienacka uchwycić go za obie nogi, nie, by go z góry strącić, ale by go zachwiać i przestraszyć. Skradają się tedy ostrożnie, cichaczem, a gdy już byli blisko, rzucają się na niego i chwytają każdy za jedną nogę. Ale cóż? Kolos rodyjski ani się ruszył, ani drgnął, lecz oglądnąwszy się w prawo i w lewo, by poznać napastników, wziął jednego i drugiego za kark i obu najspokojniej z góry stoczył. Szczęściem dla nich krzewy nad stawem wałkujących się zatrzymały i od zimne kąpieli uchroniły.

Tu przychodzi mi na myśl postawić *intra parenthesin* zapytanie: dlaczego prosta, szczera wesołość niknie z tego świata? Literatura, podania, piosnki, anegdotki z przeszłych wieków, nawet poważne dzieła, badające dawne dzieje i obyczaje, wykazują, że nietylko u nas, ale we wszystkich krajach dwory, szlachta, mieszczaństwo, nawet lud, byli ongi weselszymi niżeli teraz. Przecież im bardziej postęp i cywilizacja swoje dobrodziejstwa rozpowszechniają, im więcej parlamenty rozprawiają, dziennikarze piszą, giełdziści papierów wypuszczają, im więcej chodzi po świecie apostołów, którzy coraz to nowe teorje uszczęśliwienia ludzkości wymyślają i sztyletem, trucizną, rewolwerem, naftą albo dynamitem w praktykę wprowadzić je usiłują, tem większe powinno być powszechne zadowolenie, tem większa i wesołość, boć przecie jest ona dowodem, jeżeli nie dobrobytu (golcy bywają najweselsi), to przynajmniej swobodnej myśli, równowagi życia fizycznego czyli zdrowia z niezakłopotanym stanem umysłu. Dlaczego tak nie jest, ale wręcz przeciwnie?

Pojmowałbym, że u nas, w naszych nieszczęśliwych stosunkach porozbiorowych, wśród klęsk narodowych i indywidualnych wesołość zaginęła; ale czemuż słynna francuska wesołość *(la gaîté gauloise)* nie przeżyła rewolucji francuskiej? (chyba, że skończyła na gilotynie; Panie Boże świeć nad jej duszą); dlaczegóż i w innych krajach które przez podobne wstrząśnienia nie przeszły, anemicznie zgasła, a wszędzie, proszę uważać, w jednej i tej samej epoce, z końcem zeszłego wieku, t. j. od wyzwolenia nieszczęśliwej ludzkości z żelaznych więzów, które ją krępowały?

Nie znajduję na to innej odpowiedzi jak, że świat się zestarzał. A ponieważ go często porównywano z Fryne i Aspazją, ja, który lubię wesołość, etc., wolę zawsze

Frynę i Aspazję młode, niżeli stare. Co wyraziwszy, wracam się do wspomnień jenerała Załuskiego. Pisze on dalej na str. 160:

„Wkrótce potem Napoleon postanowił był utworzyć order: *Les trois toisons,* t. j., trzech run złotych połączonych; chciał, żeby w każdym pułku był podany oficer i jeden szeregowy tylko, do nowego orderu, a to za wyborem przez cały pułk najzasłużeńszych; w naszym więc pułku byli podani do tego znamienitego zaszczytu: Seweryn Fredro i wachmistrz Wąsowicz (z krakowskiego województwa), ale ten dekret cesarski nigdy nie przyszedł do skutku".

Na stronie 313 wraca się jenerał do owej szarży pod Peterswalde i pisze:

„Prawowierny (zapewne chciał powiedzieć „prawdomowny") pan Thiers w tomie XVI, str. 462, milczy o nas a przypisuje rozbicie pułku i wzięcie młodego Blüchera ułanom czerwonym (t. j. holenderskim) gwardji, co jest oczywistym fałszem; mogły te ułany czerwone popisać się, czego nie wiem, ale Blüchera rozbiły i wzięły nasze dwa szwadrony, co jest wyraźnie opisane w stanie służby szefa szwadronu Seweryna Fredry, który mam przed sobą".

Skoro mój stryj wrócił z wojska, zajął się gorliwie gospodarstwem i wkrótce został równie słynnym gospodarzem, jak był poprzednio żołnierzem. Te dwie po sobie następujące sławy zjednały mu miłość, szacunek i poważanie ludzi w całym kraju, w swoich zaś stronach nie było rady dotyczącej gospodarstwa, kompromisu, sprawy honorowej, w której jego głos nie byłby decydującym; on był jakoby wójtem swej okolicy i jej wyrocznią.

W tych czasach, o których wspominam, córeczki mego stryja, Sewerynka i Anielka, były jeszcze dziećmi, ale

bytność przy mojej stryjence naszej młodej krewnej, Manswety Kukiel uprzyjemniała dom nowosielecki. Prawie stałymi gośćmi byli tam: mój stryj Henryk, Nereusz Hoszowski i Konstanty Morawski.

Rzadko się zdarzy spotkać człowieka tak przyjemnego w towarzystwie, jakim był młodszy brat mego ojca, Henryk. Przystojny, wesoły, dowcipny, posiadał on wszystkie talenta: grał na fortepianie, śpiewał, rysował pyszne karykatury, doskonale tańcował, zwłaszcza w mazurze był niezrównany; umiał wszystkich naśladować, gdy jego nikt naśladować nie zdołał; w teatrach amatorskich grał, jakgdyby się aktorem urodził; skoro usta otworzył, sypał najzabawniejszemi konceptami; przytem sam lubił się bawić i pił znakomicie, nie dziw, że gdzie się pokazał, był królem towarzystwa.

Nereusz Hoszowski był wtedy młodym człowiekiem, przyjemnym i oczytanym, do czego mu nadzwyczajna pamięć dopomagała. Wystarczało mu dwa do trzech razy przeczytać jakieś wiersze, by je umieć napamięć; dobrze je też wygłaszał. O ile go natura pod tym względem obdarzyła, o tyle upośledziła go co do talentu konnej jazdy. Daremnie brał lekcje, daremnie wszystkich sił do tego natężał. Jak długo koń szedł stępo, szło po łacinie, ale jako tako; skoro jednak koń w kłus przechodził, Hoszowski znajdował się naprzemian to na grzywie, to na ogonie, co oczywiście kończyło się separacją jeźdźca z wierzchowcem. Gdy w r. 1830 poszedł do powstania, przedstawił się jenerałowi Dwernickiemu. Zastał go, siedzącego na ganku szlacheckiego dworku o dużym dziedzińcu: „Umiesz pan jeździć?“ — „Ha, trochę“ — odrzekł nieśmiało Hoszowski. — „Ułan, podaj panu konia“ — zawołał jenerał. Przyprowadzono konia, Hoszowski wsiadł. „Kłusem!“ — zakomenderował jenerał. Hoszowski puścił się kłusem,

ale zaledwie parę kroków ujechał: „Stój pan, stój, dosyć!“ krzyknął jenerał — „możesz pan zsiąść“. — „Ja umiem także galopem“ — odezwał się Hoszowski. — „Nie, nie, dziękuję panu“ — rzekł jenerał —„dosyć widziałem i radzę panu szczerze, zaciągnij się do piechoty“. Tak też Hoszowski uczynił, wstępując, o ile sobie przypominam, do ósmego pułku linjowego, w którym robił wyprawę na Litwę pod dowództwem jenerała Dembińskiego. Nieszczęściem Hoszowskiego było, że gdy podpił przy hulankach, będących wówczas w modzie między młodzieżą, zaraz szukał zaczepki i stąd miał wiele pojedynków. Nabył sobie przez to pewien rodzaj sławy i został niezbędnym sekundantem lub sędzią w każdej sprawie honorowej. Przez to stał się zczasem przykry w towarzystwie, a to tem bardziej, że się pod koniec życia całkiem rozpił. Na jego usprawiedliwienie można jednak powiedzieć, że ciągle po sobie następujące klęski gospodarskie przy bardzo szczupłym majątku zniewoliły go wreszcie ten majątek sprzedać i przenieść się do Lwowa, gdzie go brak zatrudnienia na ten nieszczęsny tor wprowadził. Któż znając Hoszowskiego w owych nowosieleckich i nawet o wiele późniejszych czasach byłby przewidział jego smutny koniec? Lecz ten na właściwem miejscu opowiem, gdyż mi jeszcze dużo o nim w następujących rozdziałach pozostaje.

Konstanty Morawski także robił kampanję 1830 r. jako szeregowiec w sławnym drugim pułku ułanów. Razu jednego jego szwadron stał w pobliżu wsi. Czy któryś z kolegów powiedział Morawskiemu, że w tej wsi jest majster szewc, czy sam w marszu dostrzegł jego szyld lub warsztat, dosyć, że mając dziurawe buty, które gwałtownie się naprawy domagały, zlazł ukradkiem z konia i w nadziei, że jego nieobecność w drugim szeregu dostrzeżoną

nie zostanie, pobiegł do szewca. Tymczasem gdy wiejski artysta zabrał się do naprawy najbardziej skompromitowanego buta, szewczycha gotowała kaszę ze skwarkami. Co? znowu kasza! wykrzykniecie czytelnicy. Tak jest, znowu kasza, łaskawi państwo, bo wy nie wiecie, jak wielką ona dla biednego żołnierza odgrywa rolę w kampanji, zwłaszcza zimowej. Zostawmy chwilowo Morawskiego o jednym bucie przypatrującego się gotującej się kaszy, wciągającego jej miłe wonie, a zobaczmy, co się tymczasem przed szwadronem stało. Przyjechał przed front pułkownik — w stylu wojskowym mówi się: djabli przynieśli pułkownika — jego wprawne oko natychmiast dostrzegło luźnego konia, czego poczciwy rotmistrz, chociaż stary doskonały żołnierz, może widzieć nie chciał. Pułkownik złajał rotmistrza i odjechał; a jak to zawsze w takich wypadkach bywa, że wtedy rotmistrz łaje porucznika, porucznik wachmistrza, wachmistrz szeregowca, a szeregowiec pakuje w brzuch szkapie parę ostróg, tak i tym razem stać się miało, z tą różnicą, że rotmistrz, kręcąc sobie wąsy, czekał na samego Morawskiego. On tymczasem był w chałupie i doczekał się chwili, gdy szewczycha odsunęła kaszę od ognia; ale zaledwie pierwszą łyżką sparzył sobie gębę, dał się słyszeć inny ogień, coś niby karabinowy. O, źle! to nie żarty mospanie! Morawski rzuca łyżkę, wyrywa szewcowi napół naprawiony but, wdziewa go na powietrzu i zaułkami przez płoty pędzi do szwadronu. W tym śpiesznym odwrocie już mu kulki ponad głową świstały, a były to kulki z janczarek kozaków, którzy stojąc po drugiej stronie wsi do niej strzelali. Nareszcie zadyszany Morawski wypada ze wsi i, o szczęście! widzi, że szwadron z miejsca się nie ruszył stara się więc chyłkiem poza front dostać się do swego konia, ale tu na niego czekał już rotmistrz; zaraz go

dostrzegł i w te słowa przywitał: „O Morasiu, skórka na buty!“ i t. d. i t. d. Można sobie wyobrazić, jaka tam posypała się litanja! Nazajutrz śmiał się z tego poczciwy rotmistrz, mówiąc: „A trzeba ci tego było Morasiu?“ On sam zaś, gdy to w dwadzieścia i jeden lat później mojemu ojcu i mnie opowiadał, dodał, śmiejąc się, jakby sam do siebie: „Że mnie zekpał, to dobrze; ale dlaczego moją matkę zbeszcześcił?“ — Tak to bywa na wojnie.

Co drugą niedzielę naprzemian zjeżdżało się po sumie w Rudkach całe sąsiedztwo raz do Nowosiółek, raz do Beńkowej Wiszni. O ile pan Seweryn lubił te zjazdy, zwłaszcza w Nowosiółkach, o tyle nie cierpiał ich mój ojciec. Główną tego przyczyną było zapewne to, że wówczas jeszcze pisał; często mu więc one przerywały pracę wśród najlepszego natchnienia. Trzeba samemu pisać, by zrozumieć, jak miło się robi, gdy nieraz po kilkudniowem daremnem szukaniu natchnienia myśl niespodzianie sama z siebie tryśnie i jakby przez otwartą śluzę takim nawałem płynie, że pióro zaledwie wydołać jej może, aż tu: trzask z bata! — „Jezus Marja! co to jest?“ — „To ksiądz proboszcz, albo państwo X. jadą z M. z wizytą!“ „A niechże was wszyscy!...“ — raptem: „Ach! cóż to za miła niespodzianka... jakże się cieszę“, i t. d. póki nareszcie po kilku godzinach wzajemnego silenia się na utrzymanie rozmowy, po komplementach powtórzonych przy odjeździe, po tysiącznych *Adieu*, *adieu*, do widzenia, dziękujemy, prosimy do siebie“, i t. d. z krzyża zdjęty gospodarz-autor nie wyrzeknie: „Uf! przecie!“ — gdy goście za bramą powiadają: „Dzięki Bogu, odbyliśmy przecie tę wizytę!“

Drugim, napozór małym powodem, był brak stajni gościnnej w Beńkowej Wiszni. Trzeba było swoje konie cugowe i wierzchowe wyprowadzać na folwark, a robocze

wypuszczać na oborę, i to niezawsze wystarczało, gdy się więcej gości czwórkami zjechało. Przytem będąc zajętym bawieniem gości, trudnoż było samemu upilnować tylu obcych furmanów, by który fajki w stajni nie zapalił, lub z zapaloną na słomie spać się nie położył. Był tam wprawdzie gdzieś ekonom i pisarz, ale kto na wsi gospodarował, wie, jak dalece można się spuścić na dozór oficjalistów. Bywają zapewne, jak we wszystkiem wyjątki, ale przyznać trzeba, że nader rzadkie. Ciągła więc obawa fajerwerku na ukończeniu zabawy niemało się przyczyniała do antypatji ojca do owych zjazdów. Nato, by z przyjemnością można na wsi liczniejsze grono przyjmować, trzeba mieć dozór i służbę urządzone potemu, a na małem gospodarstwie początkującego jest to niepodobieństwem.

Wreszcie ojciec gospodarował i dobrze gospodarował, gdyż więcej niżeli potroił majątek, ale czynił to z obowiązku, nie z gustu. Nudziła go więc nieraz wiecznie koło obornika, zasiewów, kartofli, gorzelni, wydatków młocki i t. d. obracająca się rozmowa. Do wysokiego stopnia niecierpliwiły go kłamstwa gospodarskie niektórych sąsiadów; nieraz mawiał: „Mniejsza o to, że łże dla innych, bo ci nie wierzą; ale gorzej, że sam wreszcie sobie uwierzy i sam się okpiwa“.

Ta ciągle koło jednego przedmiotu obracająca się rozmowa jest istotną plagą nietylko między wiejskiem obywatelstwem, ale wogóle między ludźmi mniej wykształconymi wszystkich stanów, których widnokrąg nie sięga dalej jak codziennego zajęcia — i tak oficerowie mówią wciąż między sobą o awansie i o odbytych kampanjach, księża o prebendach i odpustach, popy o praźnikach, kupcy o handlu i t. p. Dziwić się temu nie można, ale biada, trzykroć biada temu, kogo los wcisnął w położenie jego usposobieniu nieodpowiednie.

Dzisiejszy świat zna mego ojca tylko jako znakomitego autora dramatycznego i prawego człowieka; ale ci, którzy go w jego świetnych czasach zapamiętać mogą, a tych niestety jest już bardzo mało, ci muszą przyznać, że był znakomitością nietylko jako autor, ale pod wszystkiemi względami. Jego poglądy na historję, na politykę, wojskowość, sztuki piękne, nawet na umiejętności, w których specjalnych nauk nie posiadał, jak np. na budownictwo, mechanikę i t. d., nosiły piętno wielkiej epoki, w której wszedł w życie i własnego genjuszu. Nie dziw więc, że żyjącemu w czasach, gdzie żadna inna droga prócz gospodarstwa nie stała dla Polaka otworem, będąc zresztą prywatnemi stosunkami do tego zmuszonym, ciasno i duszno było mu w tym zakresie; stąd wrodzona skłonność do smutku jeszcze bardziej się w nim rozwinęła.

Nie chcę bynajmniej się porównywać, a tem mniej równać się z moim ojcem, ale jakże teraz pojmuję, jak dobrze rozumiem te jego smutki, które nieraz na moją i mojej siostry młodość cień rzucały. Całe moje życie jest jednem pasmem chybionego powołania; im dalej w lata postępuję, tem bardziej niknie, a raczej znikła już nadzieja wrócenia na tor właściwy, tem smutniej, tem gorzej mi na świecie, dlatego przestałem żyć własnem życiem i żyję tylko dla moich dzieci.

Jeżeli mojemu ojcu owe niedzielne zjazdy niezawsze były na rękę, zato my dzieci używaliśmy ich pełną duszą. Lecz nie bójcie się mili czytelnicy, nie będę wam naszych dziecinnych zabaw opisywał, pomimo, że Sewerynka miała dużego, kasztanowatego taksa Świstaka, który właściwie do mego stryja należał i przed którym miałem ogromny respekt, bo warczał, pomimo, że biednej Anielki faworyt Dziadek, także taksik, ale czarno-podżary, był charakteru bardzo przyjemnego, pomimo mego niezrównanego Birka,

którego egzystencja zbyt ściśle była z moją połączona, bym mu przynależnego miejsca w dalszym ciągu tych wspomnień odmówił, wreszcie pomimo Bukieta, legawca mojego stryja, o długim jedwabnym włosie, białym w kasztanowate płatki, który od wielkich uroczystości pod koniec obiadu jadał u stołu, siedząc na krześle z zawiązaną około szyi serwetą. Nie, nie będę wam o tych zabawach mówił, bo gotowibyście powiedzieć, że podobne były do zabaw wszystkich dzieci, a toby mnie i pamięć moich biednych kuzynek — bo niestety już tylko ich pamięć w niektórych sercach pozostała — mocno obraziło.

Powiem wam więc tylko, że wówczas przepowiadano, że będę pierwszym furmanem Galicji i Lodomerji, a może całej Polski, ale się omylono; bo skoro na kozioł siądę, cugle wezmę do ręki i cmoknę, zawsze mi jeden koń z miejsca ruszy, drugi się cofnie, ja go batem ściągnę, on sobie szarpnie, ja sobie, na to oba skręcają, dyszel się łamie, a bryczka, wózek lub powóz ze mną i tymi, którzy byli tak lekkomyślnymi swoje kości mi powierzyć, do góry kołami się wywrócą.

Przepowiadano zatem, że będę sławnym furmanem; niektórzy mniej sumienni chcieli mnie nawet ojcu ze służby odmówić, a to dlatego, bo jeszcze nie umiałem dobrze mówić, a już nie ruszyłem się bez potężnego batoga, z którego doskonale trzaskałem. Gdy mój stryj Henryk bawił w Beńkowej Wiszni, ile razy trzasnąłem z batoga, tyle razy mu powiedziałem: „Powiś talasiu, glo tam tsiaś?“ — miało znaczyć: „Powiedz stryjaszku, kto tam trzasł?“ — oczywiście z batoga. Na to on musiał odpowiedzieć: „A to pewnie goście jadą z Nowosiółek, albo z Dubanowic, z Hoszan i t. d.“ Zostawiałem mu bowiem wolny wybór miejscowości, skąd mieli goście

przyjechać. Z początku odpowiadał, ale gdy to zapytanie zbyt często powtarzałem, nie zadawał już sobie wcale tej pracy; ale ja swoją drogą za każdem trzaśnięciem z bicza dalej mówiłem: „Powiś talasiu, glo tam tsiaś?“

Przy wielkich zjazdach szedłem na dziedziniec z moją niańką, Czeszką, panią Lerową, brałem jeden po drugim czterokonne batogi furmanów i wprawdzie dwoma rękami, ale tak trzaskałem, że mi się w istocie kilka razy udało zwieść zgromadzone w bawialnym pokoju *empire* towarzystwo. Stryj Henryk uwiecznił to trzaskanie z bicza rysunkiem, na którym jestem przedstawiony w kacabejce z małą czapeczką, nazwaną greczynką, nabakier i ogromnym batem w ręku, przy mnie zaś stoi pani Lerowa.

Mniej więcej w tym czasie pierwszy raz się zakochałem, ale, że to było w trzydziestoletniej mężatce, zrozumiecie państwo, że jej wymienić nie mogę...

Pani Lerowa była bardzo dobrą osobą, chociaż wielką arystokratką i wychowaną *dans les bons principes*, które dzisiaj, jeżeli nie są patentem wprost na szubienicę, to przynajmniej dają powód do wzgardy nibyto ogółu, oraz do śmieszności. W r. 1831 mój ojciec, jak wiele innych osób, wyjechał z moją matką i ze mną do Wiednia przed nadchodzącą cholerą. Tam, gdy się pewnego pięknego dnia z panią Lerową, a raczej przed nią po Volksgartenie przechadzałem, spotkaliśmy na zakręcie jednej ze strzyżonych ulic syna jednego z arcyksiążąt, podobno Palatyna ze swoją boną i wygalowanym lokajem w dworskiej liberji. Młody arcyksiążę był w tym samym co ja wieku i także szedł naprzód. Stanęliśmy naprzeciwko siebie jak wryci, patrząc na chwilę oko w oko, potem podbiegliśmy do siebie, o ile na to niezbyt jeszcze pewne kroki dozwalały, i... padliśmy sobie w objęcia. Pani Lerowa wróciła do domu w stanie egzaltacji bliskiej obłąkania. *Ein*

Prinz! Ein wahrer Prinz, wciąż powtarzała, płacząc prawie z radości, i przez trzy dni się uspokoić nie mogła. Niezaprzeczenie ten zapał pani Lerowej był śmieszny, swoją drogą, gdyby wszystkie matki i nauczycielki, zamiast od kolebki zatruwać serca i umysły dzieci nienawiścią ku tym, których Opatrzność na wyższym szczeblu społeczeństwa postanowiła, uczyły ich słów Chrystusa: „Oddaj Bogu, co Boga, a cezarowi, co cezara", niezawodnie lepiej byłoby na świecie.

Co do mojej małej osóbki nie przypominam sobie, by mnie to spotkanie w dumę wzbiło i egzaltacja pani Lerowej szkodliwy wpływ na rozwój mego charakteru wywarła, ale co gorzej, zacząłem przy niej z czeska mówić po polsku. Raz między innemi opowiadałem ojcu, że wyrosnę duży, duży aż do *strahiczku* (sufitu). To zdecydowało zmianę ochmistrzyni, a że byliśmy już zpowrotem na wsi, pani Lerowa została klucznicą, a ja dostałem inną niańkę.

W r. 1833 rodzice wzięli mnie ze sobą w lecie do Karlsbadu. Chociaż nie miałem wtedy jeszcze spełna czterech lat, doskonale pamiętam Karlsbad, *die alte Wiese,* Sprudel, miejsce zwane Hirschensprung, na którem stoi krzyż nad Karlsbadem i t. d. Codzień rano chodziłem z boną na długie spacery w górach; tam zaprzyjaźniłem się z jakimsiś starym Francuzem, który się nazywał Chabot; był to podobno książę Rohan-Chabot, ale tego nie wiem, ponieważ będąc z nim odrazu *per* ty, nie pytałem się o jego tytuły. Gdy raz siedziałem na ławeczce w górach z przyjacielem Chabot i moją boną, nadeszła jakaś wielka pani z lokajem, której się Chabot z całą dawną galanterją francuską ukłonił. Zatrzymała się, pomówiła z nim, potem zwróciła się ku mnie i po kilku słowach zażądała, żebym jej podał rękę: „O, o, o! konfidencja

sieczka, a brat owies", znać pomyślałem sobie i nie chciałem podać ręki. Daremne były namowy Chabota i mojej bony, daremnie z początku w dobry sposób, potem, mówiąc, żem niegrzeczny, chciała ta pani mój upór przełamać — ja nie i nie. Zniecierpliwiona rzekła: „Kiedy mnie nie chcesz podać ręki, może ją podasz mojemu lokajowi." — Chociaż taki malec, zrozumiałem doskonale przycinek i na złość natychmiast rękę podałem stojącemu za nią drągalowi w liberji.

I cóż wy na to, moi państwo? Trzeba było porządnie przetrzepać mi skórę? Nieprawda? Nie przeczę, należała mi się rózga i dobra, ale czego nie rozumiem, to skąd się wzięła we mnie ta krnąbrność, gdyż uszanowanie dla starszych i wrodzona subordynacja były zawsze wybitną cechą mojego charakteru. Prawda, z drugiej strony, że podlegałem zawsze i podlegam sympatjom i antypatjom, które mnie nigdy, co się nazywa, w całym ciągu mego życia nie zawiodły.

Ponieważ dla wielu czytelników przytoczone powyżej staropolskie przysłowie, którego mój ojciec często używał: „Konfidencja sieczka, a brat owies", może być niezrozumiałem, i w samej rzeczy nieco jest ciemnem, daję tu objaśnienie mojego ojca: „Konfidencja czyli poufałość lada kogo, to lekka sieczka; tymczasem zażyłość z panem bratem szlachcicem, to owies".

Z owego pobytu w Karlsbadzie pamiętam jeszcze dwie wybitne postacie: pana Dzwonkowskiego, a szczególniej pana Kazimierza Walewskiego. Dzwonkowski, obywatel z Przemyskiego, całe swoje życie poświęcił chodowi pięknych, rasowych koni. Miał wtedy ze sobą parę prześlicznych szpaczków, tak ujeżdżonych, że gdy raz przyjechał niemi na *Wiese* w godzinie, w której najwięcej ludźmi była przepełniona, prosił moją matkę, by ze mną siadła do

otwartego koczyka, a skoro to uczyniła, puścił konie cwałem wzdłuż spaceru, co niemały popłoch wzbudziło, gdyż wszyscy byli przekonani, że szpaczki unoszą; tymczasem skoro krzyknął: prrr... stanęły jak wryte. Znać lepiej powoził ode mnie.

Wysoki, łysy Kazimierz Walewski, był sławnym graczem. On to zawsze twierdził, że jest nierównie większym finansistą od księcia Metternicha, gdyż ten, mając zarząd dochodów państwa, zbankrutował, a on, nie mając nic zgoła, rocznie dwakroć sto tysięcy wydaje i nie bankrutuje. W istocie nie posiadał nic na kuli ziemskiej prócz jednego pojazdu, prawda, że urządzonego jak buduar sybaryty. Było w nim wygodne siedzenie, z którego robiło się łóżko, był stolik, bufet i piwnica, nie wiem, czy była i bibljoteka, ale zresztą znajdowało się wszystko, czego dusza i ciało ludzkie w podróży zapragnąć mogą. Gdy siedział w tym pojeździe, zwykł był mawiać: *A prèsent je suis chez moi.* Razu jednego, gdy grając z jakimsiś cudzoziemcem, dopomagał fortunie, ten się spostrzegł i rzekł do niego: *Monsieur, vous trichez.* — *Je le sais* — odparł najspokojniej Walewski — *mais je n'aime pas qu'on me le dise.* Wyzwał i zastrzelił niedyskretnego partnera.

Mniej tragiczne zdarzenie opowiadał mi o nim pan Maurycy Potocki. Przyszedłszy raz do niego, zastał jakiegoś Polaczka, którego panem kapitanem tytułowano, grającego z dwoma Francuzami w bardzo drogiego wista w ten sposób, że pan kapitan grał stale z dziadkiem przeciw dwom partnerom. Walewski chodził po pokoju i nucił sobie na nutę różnych mazurków i krakowiaków:

Ten dureń na ręce, na ręce, na ręce,
Ma kralkę czerwienną i tuza winnego,
A cymbał za ręką, za ręką, za ręką,
Ma cztery kozery, tuza żołędnego... i t. d.

Jeden z Francuzów odezwał się do pana Maurycego „Wystaw pan sobie, że już jedenastego robra zrzędu przegrywamy". — „I jeszcze więcej przegracie!" — odrzekł śmiejąc się pan Maurycy. Na to Walewski stanął na miejscu, zrobił sobie z ręki daszek nad oczami i patrząc na pana Maurycego rzekł z oburzeniem: „Cóż to, czy on ci brat, czy swat, czy co u licha? Co ci do tego, że Francuzów skubiemy: przecież nikt ich nie siłuje, sami tego pragną". Pan Maurycy nie życząc sobie być dłużej świadkiem tego skubania, ukłonił się i wyszedł.

Wracając z Karlsbadu, zatrzymaliśmy się w Pradze, skąd uniosłem trzy wspomnienia, dotąd żywe w mojej pamięci. Pierwszem był srebrny nagrobek św. Jana Nepomucena, w kościele na Hradczynie; drugiem ex-króla francuskiego Karola X, słuchającego mszy z loży w tym samym kościele; trzeciem nadzwyczaj zabawny pajac w cyrku pod gołem niebem. Koniec sztuki bardzo mi się podobał, ale gdy ów pajac zasiadł do nakrytego stołu naprzeciw karego konia i zaczął jeść z nim sałatę z salaterki na wyścigi, kto prędzej, przyczem oczywiście uczciwie jedzącego konia oszukiwał, gdyż napychał kieszenie i czapkę sałatą, gdy potem ten sam pajac siadł na białego konia twarzą do ogona i wszędzie jego głowy szukał, moje uniesienie nie znało granic i tak głośno i serdecznie się śmiałem, że zwróciłem na siebie uwagę nietylko całej publiczności, ale samego pajaca, który odtąd swoje figle do mnie zaczął stroić. Gdzie są dzisiaj ten kary koń, co jadł sałatę, ten biały, którego głowy szukano tam, gdzie jej nie było, gdzie ten zabawny pajac, gdzie cała publiczność, którą szczery śmiech dziecka więcej zabawił, niżeli sztuki samego pajaca?

Mój ojciec nie był łatwym do rozśmieszania, a jednak błazeństwa dobrych pajaców do ostatnich lat go bawiły,

i ja także przyznać muszę, że to jedno mnie bawi przy konnych sztukach, które zresztą prawie jak opera lub koncert... O, nie, nie, wolę już sto razy konne sztuki, bo te koncerta, te przeklęte koncerta!... ale podobno dałem słowo, że o nich więcej mówić nie będę, więc cicho, sza, chociażby tylko dla przykładu muzykusom.

Następnego roku jeździliśmy do Szczawnicy; lecz cóż wam o niej opowiem? Wprawdzie już nie o tej, jaką wtedy była, ale nierównie piękniejszej i lepiej urządzonej? Tak przynajmniej twierdzą ludzie, bo ja, który się pytam: „Któż nie zna Szczawnicy?“ sam jej od 1834 r. nie widziałem.

U mojego ojca bywała codzień po obiedzie partja wista, przy której grający przyjęli byli fantastyczny wyraz, gdy któremu szła bardzo dobra karta, że gra idzie *mordendo*. Pewnego dnia wszedłem do salonu z pokoju, gdzie grano wista; jedna z dam będących u mojej matki zapytała mnie, co robią panowie. „Ha, coś“ — odrzekłem najspokojniej, — „idzie *moldendo*“. Można sobie wyobrazić, jaki homeryczny śmiech ten wyraz w ustach czteroletniego malca wywołał.

Wyjeżdżając ze Szczawnicy mój ojciec kupił dwoje szczeniąt z rasy psów owczarskich. Nazwał je na pamiątkę miejsca urodzenia Miodusiem i Szczawką. Oboje wyglądali jak dwie białe, kędzierzawe gałki. Oczywiście zaprzyjaźniłem się z niemi i podróżowaliśmy w najlepszych stosunkach, ale na jednym z noclegów Szczawka ostremi jak igły ząbkami chwyciła mnie za ucho, a ja ją wytrzepałem. Szczawkę wyniesiono do bryki, mnie położono spać, ale zaledwie byłem w łóżku, słowa matki, że Szczawka zrobiła to niechcący, aż do dna poruszyły moje sumienie...

I łez strumienie
Puściły się z moich ócz.

Nie pomogły żadne uwagi, ni pocieszenia, ani nawet łajanie, wciąż szlochałem, mówiąc, że chcę Szczawkę przeprosić. Musiano mi ją przynieść do łóżka i dopiero, gdy się serdecznie uściskaliśmy i szczerze sobie wzajemne urazy odpuścili, zasnąłem uspokojony.

Nie pamiętam, czy to było po naszym powrocie z Karlsbadu, czy ze Szczawnicy, dosyć, że około roku 1833 — 1834, przyjechała do Nowosiółek siostra mego ojca, Cecylja Jabłonowska, z dwiema trochę ode mnie starszemi córeczkami, Emilką i Zosią. Tu mi przychodzi ciężkie zrobić wyznanie, bo niepięknie sobie postąpiłem, ale darmo, trzeba się przyznać. Popełniłem pierwszą niewierność, przenosząc pałający afekt z trzydziestoletniej mężatki na sześcioletnią Emilkę. Dobrze to mówią, że pierwszy krok we wszystkiem najtrudniejszy; odtąd niestety moje afekta i niewierności przeszły w stan chroniczny, niby skaczące zapalenie, z którego mnie dopiero (tfy, tfy, nie uroku!) pięćdziesiątka, spodziewam się radykalnie (tfy, tfy) wyleczyła.

A ja tu mówię o afektach, a państwo może czekacie, na opisanie okolicy, albo na koniec rozdziału, by zgasić świecę i obrócić się twarzą nie na pokój. Tak? Nieprawda? A więc służę.

Najbliższym sąsiadem Nowosiółek był, jak to powiedziałem, Nereusz Hoszowski, właściciel połowy Chłopczyc dobrej wsi o dwóch dworach. Druga połowa należała do pana Adama Hoszowskiego, człowieka złej reputacji, z którym nikt nie żył w całej okolicy. Był on zawołanym myśliwym i ubiegał się o pierwszeństwo z moim wujem Kazimierzem Jabłonowskim, co mu się wszakże pod żadnym względem nie udawało. Nie wiem, ile tam było prawdy w opowiadaniach starych strzelców obu tych myśliwych o różnych figlach, które sobie nawzajem pła-

tali, nie widując się nigdy ze sobą, ale powtarzam je, jak je słyszałem. Kazali sobie dobre psy kraść, albo truć, sukom wykradać szczenięta, a natomiast podkładać inne po prostych chłopskich kundysach, starali się uprzedzić z wypolowaniem kniei, w której właściciel niemyśliwy przez niedbałość lub zbyteczną grzeczność sąsiedzką wszystkim polować dozwalał i t. d. Opowiadał mi pan Henryk Janko z Hoszan, że razu jednego o dobrym zmierzchu spotkali się w samych Hoszanach, jadąc w przeciwne strony; poznali się, gdy się już minęli, wtedy równocześnie chwycili za dubeltówki i dwa razy palnęli do do siebie. Nie przeczę temu, bo nie byłem świadkiem tego spotkania, ale zaręczyć mogę, że jeżeli zamienili strzały, to było tylko manifestacją wzajemnych uczuć, ale się z umysłu chybili, bo wiem, jak strzelali, zwłaszcza jak mój wuj strzelał.

Za Chłopczycami leżą na gościńcu samborskim nad Strwiążem Koniuszki Siemianowskie, w których, wziąwszy je w posagu po żonie z domu Siemianowskiej, mieszkał pan Wincenty Lewicki, były rotmistrz od ułanów austrjackich. Dobry człowiek, pełen humoru, dobry sąsiad, dobry gospodarz i dobry myśliwy. Za wcześnie zszedł z tego świata w r. 1849, zostawiając jedynaka syna Mieczysława. Jego wdowa wkrótce po jego śmierci poszła za pana Piotra Grossa, o którym mi później mówić wypadnie.

W Bilince wtedy mieszkał i dotąd mieszka — oby mu Bóg dał najdłuższe lata — poczciwy hrabia Piotr Komorowski, także były oficer od ułanów austrjackich. Wówczas był jeszcze młodym człowiekiem, dopiero co ożenionym z hrabianką Starzeńską. Mógłbym o nim powiedzieć, że o ile mój stryj Seweryn był fanatykiem względem Napoleona, o tyle on nim był względem mego stryja.

Także dobry gospodarz i dobry myśliwy, szczególnie charciarz, w czem się niestety nie zgadzamy.

Zwracając się z biegiem Dniestru ku wschodowi, dochodzimy do Czajkowic, wielkiej wsi, której ludność dzieli się na chłopów i szlachtę.

Ta szlachta zachowała po dziś dzień swoje dyplomy szlachectwa i odrębny strój sukman czyli kapot; do początku tego wieku nosiła od wielkich uroczystości przy boku karabele. Przed r. 1830 można było nieraz nabyć u takiego szlachcica dobrą klingę, często nawet augustówkę, czasem i batorówkę. Niestety znaczną część JMć panie szlachcianki przerobiły na noże kuchenne albo na tasaki do siekania kapusty, resztę Niemcy zabrali podczas stanów oblężenia. Schlachta czajkowiecka, chociaż przestała nosić lite pasy i karabele, nadzwyczaj dba o należący się każdemu tytuł mospana albo waćpana.

Przypomina mi to następujące zdarzenie. Mój stryj Seweryn, polując raz z Nereuszem Hoszowskim na naddniestrzańskich błotach, spostrzega w pewnym oddaleniu Hoszowskiego, napastowanego przez szlachcica, który chce mu strzelbę odebrać pod pozorem, że poluje na jego terrytorjum. Idzie mu więc w pomoc, podczas gdy tenże sprzecza się z szlachcicem w dosyć łagodny sposób, ale mówiąc wciąż „ty“ do niego. Nadszedłszy już blisko, mój stryj w te odzywa się słowa: „Gdyby tu dziesięciu takich durniów jak waćpan przyszło, jeszcze nie dałbym sobie odebrać strzelby“. Na to rozjaśniła się twarz szlachcica i rzekł zdejmując czapkę. „To grzeczny człowiek, wie przecież jak do kogo przemówić. No, niechże pan sobie z tym drugim panem poluje“. Tu spojrzawszy się zukosa na Hoszowskiego, jeszcze raz ukłonił się panu Seweryнowi i z powagą odszedł.

Major Tchórznicki i Jan Al. Fredro. (Rysunek J. Al. Fredry).

W Czajkowicach mieszkał pan Tadeusz Szczepański z żoną z domu Netrebską, siostrą p. Dominika Netrebskiego i trzema małymi synkami, Kornelem, Aleksandrem i Mieczysławem. Kornela imię jeszcze często powtórzonem będzie w ciągu tego opowiadania, ponieważ los dziwnie splótł nasze życia. Byliśmy razem w szkołach, razem poszliśmy na wojnę i odbyli kampanję węgierską, razem spędziliśmy przeszło dziesięć lat w emigracji, wreszcie prawie jednocześnie wróciliśmy do kraju i do dziś dnia o pół mili od siebie sąsiadujemy. Nie mam lepszego od niego przyjaciela i to samo on może o mnie powiedzieć.

Na tem kończy się zachowana część „Wspomnień!“ Pomiędzy papierami rodzinnemi w bibljotece Andrzeja hr. Fredry w Beńkowej Wiszni znaleźliśmy luźną kartę, która miała stanowić zakończenie tej pierwszej części. Przytaczamy ją w całości.

„Zakończając tę pierwszą część moich pamiętników, mogę powiedzieć, że mi emigracja miłe wspomnienie zostawiła, lub jeżeli obok gorącej miłości ojczyzny, bezinteresowności, cichego poświęcenia i uczciwej pracy widziałem czasem i błędne zapatrywania się na stosunki krajowe, złudzenia, a może nawet i osobiste widoki, jeżeli zdarzyło mi się widzieć i niezgodę, lenistwo, żebraninę, niestety i oszustwo, jednak były to rzadkie wyjątki, wyrzutki emigracji od niej odtrącone, nie każące ogółu, przejętego szlachetnemi uczuciami. Jednem słowem, zastałem zagranicą jeszcze szczątki wielkiej napoleońskiej epoki i tej pięknej i świetnej generacji z przed r. 1830, która tak wysoko sztandar Polski utrzymała i nieskalany nad brzegi Sekwany uniosła.

Dopiero wróciwszy do kraju, a zwłaszcza od chwili, jak życie polityczne i autonomja wprowadzonemi zostały,

napotkałem nierównie więcej samolubstwa, prywaty, zawiści, blagi, intryg, oszczerstwa i podłości, okrytych płaszczykiem patrjotyzmu, niżeli mi się kiedykolwiek w emigracji, nawet w wrogich sobie obozach widzieć przytrafiło.

Za bliskie to są czasy, zbyt wiele jeszcze osób w nich żyje i działa, bym mógł teraz uchylić zasłony, dlatego odkładam wydanie drugiej części tych pamiętników do lat późniejszych, albo je synowi przekażę, zapowiadając wszakże już dzisiaj, że niejedną prawdę odkryję, niejeden fałsz zbiję, niejedną maskę zedrę.

Beńkowa Wisznia d...“

DOSTRZEŻONE OMYŁKI DRUKU.

str. 12 *wiersz* 2 od góry, *zamiast* odchodziła *ma być* obchodziła
„ 121 „ 13 z dołu, „ dziadziowi „ „ dziadowi

TREŚĆ:

CZĘŚĆ I.

Str.

Dworek na Chorążczyźnie 1

CZĘŚĆ II.

To i owo z moich wspomnień 21
Listy Al. Fredry do syna 50

CZĘŚĆ III.

Nasze gniazdo rodzinne — Beńkowa wisznia 81
Polowanie przez J. A. Fredrę 89
Wspomnienia J. A. Fredry. Rozdział I. 103
Lampartiada, wiersz Al. Fredry 118
Wspomnienia J. A. Fredry. Rozdział II. 129

SPIS RYCIN:

Str.

1. Dworek na Chorążczyźnie (od wejścia) 3
2. Pokój Al. Fredry 9
3. Dworek na Chorążczyźnie (zdjęcie boczne) 12
4. Wnętrze pokoju Al. Fredry (drugie zdjęcie) 15
5. Maska pośmiertna Al. Fredry 16
6. Portret ołówkiem Al. Fredry, zrobiony przez wnuczkę . . 25
7. Oficyna pałacu (dawny dwór) w Beńkowej Wiszni . . . 45
8. Jan Aleksander hr. Fredro w mundurze węgierskim . . . 49
9. Szarża pod Temeszvarem (rys. J. A. Fredry) 53
10. Austryjacy, strzelający do parlamentarjusza J. A. Fredry (rys. J. A. Fredry) 58
11. Al. Fredro na łożu śmierci 78
12. Pałac w Beńkowej Wiszni (akwarela J. Swobody) 83
13. Jatwięgi (akwarela J. Swobody) 115
14. Al. Fredro z synem konno (rys. J. A. Fredry) 123
15. Major Tchórznicki i J. A. Fredro (rys. J. A. Fredry) . . . 153

BIBLIOTEKA OSSOLINEUM

650941

Zakład Narodowy
im. Ossolińskich
1100093443

BIBLIOTEKA
Zakł. Nar. im. Ossolińskich
650.941